Nr. 35 (1545). Warszawa, 27 sierpnia 1910 r. **Rok XXX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Plotka polityczna.

Niedomówienia i domyślniki są najniezdarniejszym i najlichszym środkiem informowania i urabiania opinji publicznej. Z nich biorą początek wszystkie plotki polityczne, a często i poważne nieporozumienia.

Mamy teraz bardzo świeży i blizko nas obchodzący przykład. W czasie uroczystości grunwaldzkich postępowcy polscy różnych odcieni przyjmowali obiadem posła Rodiczewa. Większość pism podała o tym wzmiankę, nie cytując treści przemówień, które zresztą nie posiadały oficjalnego charakteru, lecz stanowiły raczej wymianę myśli o kwestjach na dobie. Chodziło o to, aby się zaznajomić i wzajemnie poinformować.

Z tej wymiany myśli ogół uczestników wyniósł wrażenie, że Rodiczew jest bardzo niedostatecznie poinformowany o kwestji polskiej, a zupełnie błędnie o kwestji rusińskiej. Postarano się więc udzielić mu wyjaśnień.

Wiadomość o treści przemówień, a nawet o odezwaniach się poszczególnych mówców ukazała się w *Nowej Gazecie*, wyrażona zresztą tak niejasno, że *Przegląd Narodowy* przytoczył ów cały ustęp na poparcie „krążących wieści" o „ostrym rozdźwięku między Rodiczewem a Łypacewiczem, na tle pojmowania kwestji ruskiej w Galicji", a głoszących również, że „Rodiczew w poglądach swych na kwestję rusińską zajął stanowisko bardzo blizkie poglądom hr. Bobryńskiego".

Odkrycie takie może być bardzo na rękę *Przeglądowi Narodowemu*. Narodowa demokracja będzie miała jeden powód więcej do trzymania się zdala od kadetów, „obozu, który niema w Rosji żadnego politycznego znaczenia", jak mówi p. Sadzewicz, oraz okoliczność łagodzącą dla swoich konszachtów z październikowcami i niedawnych neosłowiańskich godów z grafem Bobryńskim.

Jest rzeczą wiadomą tym wszystkim, co się o sprawie ruskiej informowali, że bardzo wielu Rosjan, nawet najbardziej postępowych, ignoruje istnienie odrębnego narodu ukraińskiego. Stwierdzają to jednozgodnie wszyscy działacze i publicyści ukraińscy w Kijowie. Wina leży może poniekąd i po stronie Rusinów samych. Skupiając całą swą energję na walkę z Polakami w Galicji, a niezmiernie słabo popierając uświadomienie narodowe wśród wielomiljonowego ludu ruskiego w obrębie Rosji, podtrzymują w tej ostatniej przekonanie, że nie chodzi tu o żaden odrębny naród, lecz o odłam narodu Rosyjskiego, dobijający się równouprawnienia, którego mu Polacy w Galicji odmawiają.

O rosyjsko-ruskiej kwestji dotąd nie słychać, a zatym ona nie istnieje. Na tle takiego ogólnego nastroju zrodziła się omyłka Rodiczewa. Powiedział on istotnie, że Polacy zyskają bardzo silną broń moralną przeciw rusyfikacji swego kraju i przeciw nacjonalistom w rodzaju grafa Bobryńskiego, jeżeli rozstrzygną kwestję *polsko-rosyjską* na zasadach sprawiedliwości tam, gdzie oni są panami położenia, t. j. we wschodniej Galicji. Wówczas ich przyjaciołom i obrońcom w Rosji łatwiej będzie walczyć o równie sprawiedliwe rozwiązanie tejże samej kwestji „polsko-rosyjskiej" w Królestwie Polskim. Wszyscy postępowcy polscy, którzy głos zabierali, oświadczyli Rodiczewowi, że ich życzeniem i dążeniem jest jaknajsprawiedliwsze załatwienie kwestji *polsko-ukraińskiej* w Galicji, bynajmniej jednak nie liczą na budujący wpływ tego przykładu na rosyjskich nacjonalistów.

Jest rzeczą pewną (i Rodiczew tego nie kwestjonował), że Rusini w Galicji i dziś już cieszą się takimi

swobodami narodowymi, o jakich Polacy daremnie marzą w Królestwie Polskim, a o jakich ciż Rusini pod panowaniem rosyjskim nawet jeszcze marzyć nie zaczynają. Jakkolwiek więc ze strony polskiej w Galicji popełniono niejeden błąd, jakkolwiek polityka Polaków była tam nie dość mądrą, przewidującą, spokojną i rozważną (w czem zawinił najwięcej obóz *Przeglądu Narodowego*) to jednak, gdyby nacjonaliści rosyjscy byli szczerzy, już mieliby się na czem wzorować bez odkładania na jutro. Zarzuty ich jednak są oparte na fałszu. Nie żądają oni od nas sprawiedliwości dla Rusinów, lecz najwyższej niesprawiedliwości: *popierania rusyfikacji Ukraińców.* Tu p. Łypacewicz przypomniał zjazd praski, na którym sama wzmianka polskich postępowców o „nieobecnym" narodzie *Ukraińskim* wprawiła we wściekłość pana Bobryńskiego i jego towarzyszy.

Wycieczka drugiego grunwaldzkiego gościa, pana Stachowicza, na Ruś, gdzie był świadkiem naocznym bardzo grubiańskiej i *namacalnej* manifestacji chłopów ukraińskich przeciw towarzyszącym mu „galicyjskim Rosjanom" stanowiła wymowny poglądowy komentarz do tych ustnych wyjaśnień.

Cóż stąd wynika? Jest rzeczą jasną: 1-o że arbitrów dla polsko-ruskiego zatargu nikt rozsądny nie może szukać w Rosji nawet wśród najlepszych odłamów społeczeństwa; 2-o że od żadnego z cudzoziemców, czy on się będzie nazywał Leblond, Nousanne czy Rodiczew, nie możemy i nie mamy prawa wymagać cennych objawień w kwestji polskiej, w której my tylko sami jesteśmy rzeczoznawcami, 3-o że obowiązkiem naszym nie jest referować skrzętnie, co kto mówi o nas, lecz baczyć, by nas poznali i zrozumieli ci, którzy nam okazują życzliwość i dobrą wolę.

Po wszystkich dotychczasowych wystąpieniach Rodiczewa, po jego pobycie w Krakowie, nikt jego dobrej woli i życzliwości kwestjonować nie może. Jeśli nie posuwa on swych sympatji dla Polaków do tych granic, co wspomniany przez p. Sadzewicza Hercen, i nie akceptuje dążeń Sieroszewskiego, mogą mu to mieć za złe w każdym razie nie ci Polacy, którzy bez zastrzeżeń rzucali się w objęcia neoslawizmu, program autonomiczny schowali pod sukno, w Dumie posuwali abstynencję aż do zamilczania najniezbędniejszych interpelacji i dopiero schroniwszy się za kordon, kiwają polskim palcem w galicyjskim bucie, — a Sieroszewskiemu dają lekcje politycznej rozwagi.

Zdemaskowani.

Z politowaniem i wzgardą patrzyliśmy dotychczas na garść opętanych wścieklizną fanatyków z obozu *Trybuny* i *Młota*, usiłujących z niesłychanym samozaparciem osobistej, tudzież narodowej godności szczepić śród robotników polskich ekstrawagancje Róży Luksemburg, które wymiata się obecnie z kół organizacyjnych na Zachodzie, nakształt śmieci, kompromitujących kulturę nowoczesną.

Robotnik polski, dźwigający na barkach swych brzemię krzywdy dziejowej, przykuty do jarzma kleru, obezwładniony przez warunki polityczne, skazany na ciemnotę, wyzysk i niedolę, w rozpaczliwej godzinie reakcji, jaką przeżywamy obecnie, ujrzał nagle w podświadomym spisku sprzysiężone przeciwko sobie dwa potworne żywioły, które, na nieszczęście jego, postanowiły wziąć go pod opiekę: *upośledzenie umysłowe* i *niepoczytalność moralna*. Dwa te żywioły były orężem *Trybuny* i stały się orężem *Młota*.

Biedny, bezradny mózg robotnika panowie Warscy, Radkowie, Truskiery i t. p. postanowili zamienić na wybuchowy arsenał pocisków, symulujących walkę z ustrojem społecznym tudzież politycznym kraju, a w rzeczywistości godzących w lewicowe odłamy inteligiencji polskiej. I jest to taktyka dla nas zupełnie zrozumiała. Zuchwale ambitni, lecz pozbawieni kwalifikacji umysłowych „halebardnicy" nasi i „młotowcy" boją się tylko jednego: zbudzenia krytycyzmu w masach robotniczych. Nie dorastając do poziomu współczesnej kultury, która ich zawstydza i degraduje, drżą o swe władztwo nad światem robotniczym, za wszelką cenę starając się odciąć go od światła, od wiedzy, przedewszystkim zaś od samodzielności w myśleniu; stąd płyną oszalałe ataki ich na polską myśl postępową i paniczna trwoga przed wolnomyślicielstwem ludu, trwoga, nie wiele różniąca się od pokrewnej bojaźni dogmatyków kościelnych. Mur nienawiści nieprzejednanej chcą oni dźwignąć między ludem roboczym, a twórczą pracą myśli i wysiłkami ducha poznawczego. Dążą oni wszystkimi siłami do stworzenia systemu, któryby utrwalił potrzebę ich bytu i nadał sankcję konieczności ich „opiekuńczej misji" z krwawicy ludu opłacanej; walczą o warunki dla rozwoju i rozkwitu niższego typu psychicznego w organizacji społecznej. Z rozbójniczą arogancją i pychą wpierają się oni przemocą między wytwórców wiedzy nowoczesnej i kierowników oświaty a głowy ludu, pragnące z wiedzy tej korzystać; próbują skłócić i poważnić ze sobą obie strony, pracujące w równym niedostatku i równe składające ofiary dla przyszłości. *Młot* zrozumiał to, nawet przy swej ograniczoności umysłowej, doskonale, że z chwilą, gdy zespół wytwórców intelektualnych zetknie się bezpośrednio z klasą intetektualnych spożywców, zniknie raz na zawsze miejsce dla panów Radków i Truskierów, usiłujących proceder faktorów, w którym niezaprzeczenie posiedli wyćwiczenie rasowe i historyczne, przenieść w dziedzinę stosunków ideowych i szynkować na łamach swoich świstków jad duchowego obłędu, jak niegdyś ojcowie ich szynkowali truciznę fizycznego upodlenia.

Aczkolwiek nie powstrzymywaliśmy się uprzednio od oświetlania istotnego znaczenia działalności i propagandy ideowej tych panów, nie odpowiadaliśmy jednak stale na ich systematyczne napaści, sekundowane zazwyczaj przez Puryszkiewiczów i Skimborowiczów, nie wchodziliśmy w otwartą z nimi dyskusję: jakże bowiem dyskutować z ludźmi, dla których Róża Luksemburg stanowi nietylko „autorytet naukowy", ale i „naczynie osobliwszego nabożeństwa". Ostatni wszelako tydzień przyniósł nam wypadek tak jaskrawy w swej ohydzie ze strony *Młota*, uderzający cynizmem tak niesłychanym nawet w zabagnionych warunkach publicystyki Warszawskiej, że nieodwołalnie zachodzi potrzeba zaznaczenia stosunku naszego wobec tego rodzaju „formacji antropologicznej" ostro i nieubłaganie.

W numerze ostatnim *Młota* w artykule p. t. „Staropolska formuła do użytku p. A. Njemojewskiego" ciśnięto na pisarza tego, mającego za sobą 23 lata publicznej pracy literackiej, społecznej i naukowej, grad najobelżywszych wymysłów, posuwających się aż do zarzucenia mu infamji. Redaktor *Myśli Niepodległej*, poświęcający całą pracę swą na wyzwalanie ludu z ogromu przesądów i budzenie w masach owego właśnie krytycyzmu, który współpracowników *Młota* najstraszniejszym napawa lękiem, z natury rzeczy musiał być wzięty za cel najgwałtowniejszych ich ataków. To też, gdyby artykuł *Młota* poprzestał jedynie na szeregu obelg najbardziej nawet karczemnych, ze strony naszej, ze strony postępowej inteligiencji polskiej

wystarczyłby krótki i wymowny protest, dający do zrozumienia Radkom i Truskierom, jak nierówne są ich szanse w walce z Niemojewskim: bo oto, gdy oni nazywają go sprzedawczykiem sprawy robotniczej i niepodległym łotrem,—śmiać się tylko możemy; ale skoro on nazwie ich zaprzysiężonymi wrogami oświaty ludu roboczego, tłumiącymi w tym ludzie wszelkie przebłyski samoistności duchowej,—to odrazu wszyscy się zgodzą, że niestety tak właśnie jest w istocie. Krótki i stanowczy protest, powtarzamy, wystarczyłby, gdyby w artykule *Młota* nie było nic innego. Ale tam jest coś jeszcze. Coś, co zmusza nas do natychmiastowego zaalarmowania opinji przeciwko tej zgrai faktorów, jak alarmuje się ludzi przeciwko zarazie dżumy, lub przeciwko zarazie... Azefów.

Na stawione przez Andrzeja Niemojewskiego w *Myśli Niepodległej* zapytanie, jakim prawem garstka karjerowiczów żydowskich przemawia imieniem polskiego ludu roboczego, zapytanie, mające, rzecz prosta, jedynie kwalifikacje moralne, społeczne, wiedzowe tych panów na względzie, bynajmniej zaś nie ich mandaty lub upoważnienia oficjalne, które bynajmniej stanowić nie mogą o talencie i kompetencji, „Młot" w arykule rzeczonym, uchylając się rzekomo od odpowiedzi, popełnia oczywistą dla każdego autodenuncjację, w słowach następujących:

„P. Niemojewski, zmuszając pp. X. i Y. do złożenia publicznych dowodów, że mają ten lub inny mandat do przemawiania imieniem robotników... jest jednym z dwojga: albo *prowokatorem*, który chce przyprzeć do muru i sprowokować pp. X. i Y. do *publicznych zeznań, ...albo spekuluje na to, że pp. X. Y. takich mandatów przedstawić nie mogą*".

Cóż to jest???

W osłupieniu i zgrozie czytaliśmy te złowieszczo niepokojące słowa, i raz jeszcze powtarzamy okropne pytanie:

Cóż to jest?

Czy nieskończona, posunięta aż do obłędu samobójczego, głupota? — głupota, w natężeniu takim stokroć gorsza, stokroć niebezpieczniejsza od ognia i zarazy?

Czy też świadomie piekielna robota złoczyńców, na której napiętnowanie brak nam słów, dość palących i wyroków dość ciężkich?

W. Rzymowski.

Państwo syndykatów.

Dotychczas za krainę zjednoczenia wielkiego kapitału w syndykatach i trustach uchodziły Stany Zjednoczone Ameryki Północnej; obecnie wybitne miejsce pod tym względem zajęła Rosja. Syndykaty znalazły w niej grunt bardzo przyjazny dla siebie pod każdym względem, rozwijają się szybko i w ostatnich latach doszły do olbrzymich rozmiarów. Pierwsze miejsce zajmują dwa takie potwory kapitału: syndykat żelazny i węglowy, ten drugi pod nazwą „Produgol". Oba skupiają w sobie 70 proc. produkcji ogólnej. Za nimi idą syndykaty: cukrowy, solny, zapałkowy, gorzelniczy.

Miarą ich rozkładowego wpływu na interesy ekonomiczne miljonowych rzesz ludności jest coraz bardziej rosnący antagonizm śród tych rzesz i coraz ostrzejsza ich walka z kapitałem zjednoczonym. Znamienną cechą syndykatów amerykańskich jest, obok wszechwładnego panowania na polu ekonomicznym, wkraczanie w dziedzinę polityki. Mają one swoich ludzi w organach zarządu państwowego i miejscowego, trzymają w swych rękach administrację i sądy. Wywalczają i szerzą wpływy wszelkimi środkami, nie gardząc nawet przekupstwem.

Syndykaty rosyjskie wprawdzie jeszcze nie posiadły tej wielostronnej władzy, ale są na drodze ku temu. Syndykaty żelazny i węglowy mają swych rzeczników w Dumie, w Radzie państwa, w sferach ministerjalnych. Pomimo to,coraz jaskrawiej ujawniający się ich wpływ ujemny, coraz głośniejszy i energiczniejszy protest grup ludności poszkodowanej wywołały wystąpienie rządu przeciw tym organizacjom kapitału.

W zimie pod przewodnictwem wice-ministra handlu i przemysłu, p. Millera, odbyły się narady połączonych władz ministerjalnych („mieżduwiedomstwiennoje sowieszczanje"), które wszakże miały charakter wystąpienia, że tak powiem — dla oka i cała walka rządu z syndykatami zeszła do „konieczności *uregulowania* zmów syndykalnych w Rosji". Narady owe jakgdyby były wynikiem nacisku opinji publicznej. Pomimo, że październikowcy w swoim czasie zebrali bardzo bogaty i wymowmy materjał w sprawie ujemnej działalności syndykatów, uczestnicy narad ministerjalnych przyszli do wniosku, że należy przedewszystkim zebrać materjał, dotyczący działalności syndykatów. Jest to bardzo charakterystyczne działanie na zwłokę, znane i wypróbowane w sferach biurokratycznych. Nadto. przewodniczący, wice-minister p. Miller, w rozmowie prywatnej ze współpracownikiem *Petersb. Gaz.* oświadczył otwarcie, że syndykat cukrowniczy jest *niezbędny*, a co do innych—zdania są podzielone.

Zresztą takie stanowisko sfer ministerjalnych wobec syndykatów ma swoje usprawiedliwienie w życiu. Pewne względy fiskalne, gospodarcze i poniekąd względy polityki ekonomicznej muszą łagodzić ten stosunek rządu do syndykatów. Wszakże on jest najpoważniejszym odbiorcą syndykatu żelaznego i węglowego. Czy z pożytkiem dla skarbu państwa? Syndykat węglowy prowadzi akcję rozbójniczą. Uzależnił i steroryzował przemysłowców mniejszych, zmusił wielu z nich do połączenia się z sobą, a poprostu pożarł. Następnie zmniejszył produkcję i podniósł ceny węgla. Ministerjum komunikacji zawarło z nim tranzakcję olbrzymią i przepłaciło dziesiątki miljonów rubli. Kiedy to wszechwładztwo rabunkowe syndykatu zanadto stało się widocznym, kiedy skutkiem tego władze ministerjalne nawet wypowiedziały ostrą walkę „Produgolowi", ozwały się głosy ostrzegawcze, doradzające zaniechanie walki, bo „Produgol" jest zanadto ustosunkowany, posiada w swym łonie potężnych kapitalistów francuskich, a ci przecież oddziaływają na losy i przebieg pożyczek... Walka ucichła; „Produgol" istnieje w dalszym ciągu, prowadzi swoją akcję zbójecką, niszczy dobrobyt wielu dziedzin życia ekonomicznego, skazuje na zagładę przedsiębiorstwa „dzikie", nie poddające się jego władzy, obniża technikę wytwórczą, skraca pola produkcji, a zarazem zmniejsza liczbę rąk roboczych. Kiedy zaś przyszła straszna epidemja, ten potwór kapitalistyczny, zarabiający miljony i miljardy, nie pomyślał o żadnych środkach zapobiegawczych, nie przedsięwziął żadnej akcji ratunkowej i doczekał się, aż zmarło w Zagłębiu donieckim na cholerę *tysiąc* robotników. Jakże teraz sobie poradzi, gdy pozostali robotnicy w popłochu uciekają i wkrótce kopalnie opustoszeją i zamrą na długo. Nie na wiele się przyda w takich warunkach wyjednany w sferach ministerjalnych delegat lekarski; nie na wiele się przydadzą wszelkie zarządzenia biurokratyczne. Bezwzględny rabunek i rozbój w końcu musi się odbić także na skórze rabusiów.

Z wielką szkodą rzesz miljonowych działa także wznowiony po cichu, ale głośny w skutkach syndykat cukrowników, ogarniający olbrzymie obszary czarnoziemne. Niemało również strat wyrządził różnym grupom ludności syndykat solny, do którego władze także brały się dosyć surowo, nawet za pomocą organów prokuratorkich, na skutek energicznych skarg lu-

dzi poszkodowanych. Ale to syndykat niemniej ustosunkowany, więc się nie da unicestwić. Należą do niego: księżna Urusowa, kamer-junkier Bazili, były prezes odeskiego sądu handlowego Łuzanow i wielu innych. Syndykat ten istnieje już od trzech lat i dzięki jego działalności, w ciągu tego czasu cena puda soli mielonej podskoczyła z 15 do 30 kop., a pud soli w bryłach z 8 do 24 kop. Najbardziej są pokrzywdzone ubogie warstwy ludności. Nietylko zdrożała sól, ale także ryby solone, artykuł pierwszej potrzeby ludności ubogiej.

Przy badaniach machinacji tej zmowy kapitału przez władze prokuratorskie, ujawnił się silny grunt, na którym ma oparcie przemysł, połączony zmową. Oto jeden z inicjatorów syndykatu, niejaki Pieszynskij, oznajmił otwarcie u sędziego śledczego, że w podniesieniu cen soli jest zainteresowany skarb państwa, który, jako udziałowiec, nie mógł protestować przeciwko tej organizacji kapitału. Na wzrost ceny soli wpłynęło ogromnie „normowanie" produkcji. Syndykat skupowuje stojące poza jego obrębem przedsiębiorstwa produkaji soli i zamyka je. W ten sposób właśnie zakupił w Besarabji bogate pokłady soli i nie eksploatuje ich wcale. Zakupienie miało tylko na celu unicestwienie produkcji, prowadzonej przez przedsiębiorców, stojących poza syndykatem. Panowie przedstawiciele syndykatu umieją także w podstępny sposób utrzymywać się przy licytacji działek skarbowych. Odstępując od licytacji, tracą vadium, a pomimo to, w jakiś przedziwny sposób po upływie pewnego czasu stają się panami owych działek, i to po cenach niższych od wyśrubowanych na licytacji. Usiłowali także ci panowie kupić milczenie prasy odeskiej, ale to się im nie udało.

Z organami prokuratorskimi zapoznał się również syndykat zapałkowy, którego machinacje stały się zanadto rozgłośnymi. Pomimo tych chwilowych nieprzyjemności, sprowadzonych przez śledztwa, badania, rewizje, wszystkie te syndykaty rozwijają się i są w stanie kwitnącym, a jakiś w przyszłości szczęśliwy badacz-ekonomista, dla którego staną otworem archiwa organów śledczych, będzie miał bogaty i cenny materjał, jako przyczynek do historji rozwoju syndykatów rosyjskich.

Zdawałoby się, że wobec wszechministerjalnych narad w Petersburgu, wocec akcji rządowej w swoim czasie przeciw „Produgolowi", wreszcie wobec wejrzenia organów prokuratorskich w działalność kapitału zjednoczonego, przynajmniej nowe syndykaty nie będą miały przyjaznego gruntu dla siebie. Tymczasem dzieje się przeciwnie:

W Petersburgu pod przewodnictwem tego samego wice-ministra przemysłu i handlu, p. Millera, który był uczestnikiem narad przeciwsyndykalnych, odbyły się narady pierwszorzędnych wywozowców zbożowych petersburskich w sprawie uregulowania handlu zbożowego zagranicznego i wewnętrznego. Na narady te nie zaproszono przedstawicieli prasy. Co więcej, — nie zaproszono nawet ani jednego przedstawiciela giełdy zbożowej, a z trzystu handlarzy zbożowych Kałasznikowskiego Towarzystwa giełdowego żaden również nie otrzymał zaproszenia. Nie dopuszczono więc do narad ludzi zainteresowanych tą sprawą najbliżej i bezpośrednio. To też owi odsunięci przyszli do przekonania, że tajne narady, odbyte pod przewodnictwem p. Millera, nie były niczym innym, jak tylko narodzinami nowego syndykatu petersburskich wywozowców zbożowych pierwszej klasy. P. Miller wyraził nawet nadzieję, że za przykładem wielkich handlarzy petersburskich pójdą inni, w miastach portowych i stworzą takie „związki", z których niewątpliwie z czasem powstanie „związek związków", czyli trust. Tak więc zorganizowano zamach na interesy rolnictwa i wielomiljonowych rzesz spożywców.

Wogóle sprawa zbożowa w obrębie państwa rosyjskiego jest w warunkach fatalnych. Skutkiem sławetnej biurokratycznej gospodarki, na kolejach żelaznych stale w jesieni gromadzą się olbrzymie zaległości ładunków zboża. W październiku r. z. stało na stacjach około 90,000 wagonów, naładowanych zbożem. Pomimo, że to się powtarza z roku na rok, koleje nie mogą się zdobyć na odpowiednią sprawność przewozową. Przeciwnie — chcąc się pozbyć wszelkiej odpowiedzialności, wprowadzają nowy przepis, na mocy którego będą obowiązane do przewozu takiej ilości zboża, jaką mogą wyprawić tylko w najkrótszym czasie. Ta zaś ilość ładunków, która wchodzi w granice „czasu najkrótszego", musi być umieszczona w specjalnych składach zbożowych za osobną opłatą. Zanim takie składy powstaną, rolnicy poniosą ciężkie i niepowetowane straty.

Przed paru miesiącami w Petersburgu odbyły się specjalne narady w sprawie usunięcia nienormalnych warunków handlu zbożowego. Okazało się przytym, że nieoględna polityka ekonomiczna wydała wyniki bardzo ujemne: W Banku państwa i jego oddziałach zastawiono zboża za 38,165,000 rb. po 14 maja r. b. Nadto, w bankach prywatnych zastawy zbożowe doszły do 87 miljonów rubli. Pomimo, że instytucje kredytowe postanowiły nie uciekać się do sprzedaży przymusowej, musi ona jednak pierwej czy później nastąpić, na czym oczywiście zarobią spekulanci. Okazuje się, że kredyt szeroki na zastaw zboża nie pomaga, lecz szkodzi, gdy wogóle inne koła machiny biurokratycznej są zardzewiałe i wcale nie mogą się ruszać. Nic kredyt nie pomoże, gdy koleje nie mogą przewozić zboża i gdy się wogóle prowadzi politykę ekonomiczną, nieodpowiadającą położeniu i potrzebom rynków zagranicznych. Za to spekulacja ma rozległe i niepohamowane pola działalności. Będzie miała jeszcze większe obecnie, gdy powstanie syndykat zbożowy, ze szkodą ogółu ludności.

Zen. Pietkiewicz.

Mistycyzm czy mistyfikacja?

„W zmaterjalizowanych czasach dzisiejszych—pisze p. Z. D. w *Tygodn. Ilustr.*—jesteśmy może jedynym w Europie narodem, który ma światopogląd idealistyczny, który duchem potrafi wznosić się ponad powszedniość. Jest to, przy obecnym układzie stosunków, przy drogach, którymi kroczy polityka, niekorzystne, jedynie bowiem przysłowiowe „zęby i pazury" mają znaczenie, jedynie bowiem siła materjalna jest wartością, z którą świat się liczy—ale szale dziejowe nie stoją nigdy w równowadze i przyjść musi czas, że ta, która jest dziś u góry, opadnie na dół. Materjalizm, który jest wynikiem grubego, trywialnego stosunku człowieka do świata—upaść musi, armaty Kruppa i najeżone bagnetami szeregi przestaną rozstrzygać o prawach narodu do samodzielnego istnienia i rozwoju. Wówczas zatryumfuje państwo ducha, które powoła twórczy pierwiastek miłości do budowania szczęścia i pokoju powszechnego. A wówczas najniżej staną ci, którzy mają w sobie najwięcej nienawiści, i historja imię ich czarnymi na swoich pergaminach zapisze zgłoskami".

Ten ustęp dosłownie i w całości przytaczamy, jako najnowszy refren legiendy, wmawiającej społeczeństwu polskiemu heroiczne i wyjątkowe cnoty, którymi jakoby góruje nad całym światem. Nic szkodliwszego i, *disons le mot*, głupszego, jak ta automistyfikacja mistyczna, w której doświadczone oko z łatwością wykrywa ślady wypaczonego Towianizmu. Smutne to, że sto lat szkoły życia nie wszystkich nas wzwyczaiło do trzeźwego na siebie poglądu, a nadewszystko—do mierzenia spraw naszych ogólnoludzką miarą, bez uprzedzeń, ale i bez egzaltacji, bez krańcowego pesy-

mizmu, ale i bez niedorzecznej mistyki, która, dalibóg, w zaraniu XX-go wieku wygląda cudacko.

Darowujemy konia z rzędem temu, kto zrozumiale wyłuszczy ów „światopogląd idealistyczny", którego posiadaniem, według pana Z. D., cieszyć się ma naród polski, w odróżnieniu od innych, podlejszych nacji.

Zgóry jesteśmy pewni, że żaden sumienny Polak do konkursu nie stanie; natomiast oglądać możemy codziennie zabiegi zażywnych „mistyków" i skrzętnych „idealistów", co się trzymają przezornie za poły wszechwładnych firm i możnych redakcji. Ale ustawiczne ze strony tych sfer wpieranie w czytający ogół, że reprezentowana przez nich Polska stanowi jedyny na świecie czynnik buntu przeciw „materjalnej sile"—toż to jest, mówiąc dosadnie, zwyczajne „naciąganie gości".

Usuńmy grube warstwy fałszu, legiend, mistyki i mistyfikacji, któremi okrył się konserwatyzm polski, jak nieprzebitą skórą nosorożca. Obaczmy, jak wygląda „idealistyczny światopogląd" bez osłon. Galicyjska rządząca klika stańczyków i wszechpolaków redukuje całą politykę do zażartej obrony latyfundjów, prebend i synekur, przeciwstawiąc Niemców Czechom i *Polakom* na Slązku, Moskalofilów Rusinom na Podolu, wchodząc w konszachty z czarnym kahałem żydowskim na wyborach, a z reakcyjnym klerem przy każdej okazji.

W Wielkopolsce znów, gdzie rządzi krew i szlachta, żywioł polski uczynił się jednoznacznym ze skrajnym konserwatyzmem społecznym i umysłowym, popiera ze wszech sił zachowawców pruskich przeciw czynnikom wolnościowym, a czyniąc to metodycznie, utrwala panowanie „armat Kruppa i najeżonych bagnetami szeregów"—mimo, że te właśnie „armaty" i „szeregi" przeciwią się niedwuznacznie „państwu ducha, które powoła twórczy pierwiastek miłości do budowania szczęścia i pokoju powszechnego". Poprzednio jeszcze „światopogląd idealistyczny" polskich sfer miarodajnych dyktował im podwyższenie ceł na zboże i mięso, a teraz—dyktuje podwyższenie apanażów królewskich. W Rosji widziano—ku zdumieniu kulturalnego świata—mandatarjuszów Królestwa Polskiego, darzących pogardą i odrazą „pryncypia liberalne" i „humanitaryzm" lewicy rosyjskiej; zaś panom K.-D-om, którzy się na przetargach politycznych zupełnie „nie znają", prezes Koła Polskiego udzielał długich lekcji *makiawelizmu* politycznego, jako pojętny uczeń Bismarka. Alež chyba nie wmówi w nas p. Z. D., że to właśnie „Myśli Nowoczesnego Polaka" i „Teorja egoizmu" stanowią dwie złote księgi naszego „idealizmu"?

Tyle co do polityki zewnętrznej. Obaczmy teraz, jak to kierownicy naszej opinji potrafją—oni jedni na całym świecie — „wznosić się duchem ponad powszedniość" w stosunkach wewnętrznych wybranego kraju. I znów zedrzyjmy zeń gruby pokrowiec kłamstw konwencjonalnych i dyplomatycznych przemilczeń. „Ciemnota umysłowa, ubóstwo, nieumiejętność wytwarzania dobrobytu materjalnego (och, ten materjalizm! *Przyp. L. G.*), zdziczenie moralne, zaniedbanie najpierwotniejszych warunków życia, nędza duszy i nędza ciała, niedołężne gospodarstwa, zatęchłe chaty, złe drogi—oto obraz naszego ludu, wychowywanego dotąd przez administrację, panów ze dworu i księży. A zwłaszcza przez księży, gdyż oni głównie szczycą się posłannictwem „krzewienia oświaty i moralności". Jaki plon wydało to krzewienie—widzimy. Zwłaszcza pod względem etycznym upadek jest wprost przerażający. Niema już w zachodniej Europie społeczeństwa, w którym byłoby tylu złodziejów i morderców..." [1])

Dla pełności dodajmy szereg pobożnych denuncjacji, sprawę ks. Kominka, szczucie na Kruszynek, nękanie Marjawitów, gruby i tym razem istotnie *materjalny* fetyszyzm dewotek i bigotów, terroryzujących takich „gentlemanów" jak dr. Benni, a na całej linji hotentocka jakaś odraza do postępu, myśli wolnej i wszelkich wogóle idej wyzwoleńczych... co nie przeszkadza p. Z. D. utrzymywać, że jesteśmy może „jedynym w Europie narodem, który duchem potrafi wznosić się ponad powszedniość.. "

Wolne żarty, pp. mistycy i mistyfikatorzy! Gdyby naród polski, spowity we mgły i dymy waszych bajań, czekał z ufną i bierną pokorą, aż „ta szala dziejowa, która jest dziś u góry, opadnie na dół"—to nie ulega kwestji, że słońce, które wzejdzie, oświeciło by jakiś ugór cmentarny, zamiast żywego narodu.

Ale, na szczęście, są tacy w tym kraju, co pracują bez wytchnienia, by Polska, *mając się za mesjasza, nie została kopciuszkiem narodów*...; są tacy, którzy czuwają, by Polska, jak ów Chantecler, w mistycznym letargu, jutrzni Nowego Życia—*nie przespała*.

L. G.

[1]) „Kultura Polska", Nr. 3 (Marzec 1910 r.)

Listy z Galicji.

X.

Nowe Stronnictwo polityczne.

Rozkład narodowej demokracji zrobił znaczny krok naprzód. Usunięcie posła Germana, który był w opozycji, do zarządu stronnictwa, ma w krótkim czasie pociągnąć za sobą dobrowolne opuszczenie szeregów narodowej-demokracji przez 7 posłów do parlamentu.

Właściwie dziś już stronnictwo to nie przedstawia dużej siły, i ani w parlamencie, ani w kraju nie ma żadnej powagi. Nawet między tymi, co jeszcze nie wystąpili, jest bardzo wielu takich, co zrobią to w najkrótszym czasie. Zwłaszcza inteligiencja na prowincji, w miastach Galicji Wschodniej, która, do niedawna jeszcze popierała to stronnictwo, obecnie się od niego odwraca.

Pozornie zjawisko to może się wydać dziwne, gdyż w ostatnich czasach nic takiego nie zaszło, coby narodową demokrację przedstawiło w jakimś nowym świetle. Ideologja jej pozostaje ta sama, nabiera nawet większej wyrazistości...

Ażeby zrozumieć ten rozkład, należy przypomnieć sobie: 1) jej szumne obietnice, czynione społeczeństwu, 2) sposób werbowania członków na prawo i lewo, bez wyboru, 3) aroganckie postępowanie jej przywódców wobec innych stronnictw i jednostek.

Narodowa demokracja w Galicji rosła, jak na drożdżach. Łatwowierni przypuszczali, że, zdobywszy wpływ w kraju, spowoduje przewrót w polityce polskiej, wzmocni stanowisko Koła Polskiego w Wiedniu i zdobędzie nowe koncesje dla Galicji.

Tymczasem cóż się okazało? Oto Koło polskie, pod komendą prezesa Głąbińskiego, straciło swój dawny wpływ, zwłaszcza w ostatnich miesiącach; dla Galicji nietylko nie wywalczyło nowych zdobyczy, lecz nie było nawet w możności otrzymania tego, co państwo jej dawniej zastrzegło (sprawa kanałów). W kraju, polityka narodowej-demokracji i doprowadziła tylko do zaostrzenia się stosunków polsko-rusińskich, i walki czysto osobistej przywódców tego stronnictwa z osobami, stojącymi na czele zarządu Galicji.

Narodowa demokracja opiera się głównie na urzędnikach, którym obecnie każe prowadzić walkę bezwzględną z namiestnikiem i marszałkiem, nie w imię jakiegoś programu określonego, lecz w imię gołosłownego zarzutu, że, z krzywdą dla Polaków, popierają Rusinów.

Austrja jest państwem konstytucyjnym naprawdę, a nie na żarty, posiada ustawy, które muszą być

szanowane, a nie naruszane dla przyjemności p. Grabskiego.

Rusinom nie można zabronić prowadzenia agitacji politycznej w obronie swych interesów, nie można ich zupełnie pomijać w nominacjach na urzędników. Zdobycze, które osiągnęli, są faktycznie znacznie mniejsze od tych, jakie im się należą.

P. Grabski i jego zwolennicy chcieliby Rusinom odebrać możność odbywania zebrań, ostrej krytyki Polaków w prasie, organizowania się.

Społeczeństwo polskie w Galicji zaczyna rozumieć, że polityka narodowej demokracji nietylko nie przynosi krajowi pożytku, lecz mu szkodzi, że w przyszłości doprowadzić może do bardzo ujemnych rezultatów.

Osobista dyktatura p. Grabskiego, który się ukrywa za manekinem politycznym stronnictwa, p. Pawlikowskim i posługuje kilkunastu smarkaczami, ślepo sobie oddanymi, zaczyna wreszcie ciążyć narodowym demokratom.

Pisałem już nieraz na szpaltach *Prawdy*, że chwila obecna w Galicji nadaje się doskonale do powstania nowego stronnictwa demokratyczno-postępowego, że jednak, prawdopodobnie, stronnictwo takie niestety nie powstanie, gdyż ludzie, wyznający poglądy postępowe, są apatyczni, boją się poruszać sprawy drażliwe i nie umieją się organizować.

Z chwili obecnej skorzystają inne żywioły, które wejdą jednak w bliższy kontakt i ze sferami postępowo-demokratycznymi.

W Galicji ma wkrótce powstać nowe stronnictwo, któremu proponowano, wzorem węgierskim, nadać miano stronnictwa pracy.

Gieneza tego przyszłego stronnictwa jest następująca.

Namiestnik Bobrzyński, człowiek niezawodnie bardzo rozumny i zdolny, był i jest jedynym politykiem galicyjskim, poza socjalistami, który w sposób konsekwntny, a nadto, powiem, wprost, mistrzowski zwalczał i zwalcza narodową demokrację, widząc w niej słusznie żywioł, pod każdym względem szkodliwy dla Galicji, narodu polskiego i państwa. Rozumie dobrze, czego znowu p. Grabski nie może zrozumieć, że w państwie konstytucyjnym jedno stronnictwo można zwalczać skutecznie tylko przez inne.

Konserwatyści są rozdwojeni: podolacy sympatyzują w wielu razach z narodową demokracją, stańczycy stają oddzielnie. Jedni i drudzy są jednak słabi, bo się przeżyli. Chcąc zaszachować narodową demokrację, Bobrzyński oparł się na większości ludowców, z frakcji p. Stapińskiego. Sojusz taki, chwilowo dla namiestnika pożyteczny, nie jest jednak wystarczający do zwalczania narodowej demokracji, gdyż stronnictwo ludowe, zwłaszcza odłam jego, reprezentowany przez p. Stapińskiego, ma barwę ciasno stanową. Zresztą przywódca ludowców jest to człowiek nieobliczalny, ignorant w sprawach politycznych, zwłaszcza na gruncie wiedeńskim robi często wielkie błędy.

Wobec tego, należało pomyśleć o innym sojuszniku. Znaleźć ich można było tylko w szeregach demokracji galicyjskiej, rozproszonej, podzielonej na frakcje, bez myśli politycznej, bez utalentowanych przywódców po śmierci Romanowicza Rottera, oraz po ustąpieniu z szerszej widowni politycznej Rutowskiego.

Od niedawna wszedł do szeregów demokratycznych krakowskich były stańczyk i prof. uniwersytetu krakowskiego dr. Leo, obecnie prezydent miasta Krakowa.

Człowiek w sile wieku, bardzo sprytny, znakomity organizator, znający doskonale stosunki galicyjskie. Fizjognomja polityczna p. Leo nie jest niestety bardzo wyraźna. To tylko można o nim powiedzieć, że liczy się z rzeczywistością, a nie jest doktrynerem, że rozumie pewne konieczności polityczne i socjalne.

P. Leo jest upatrzony na przyszłego prezesa Koła polskiego w Wiedniu. On też ma być nerwem nowo powstać mającego stronnictwa politycznego.

Ponieważ Bobrzyńskiego łączą z Leem stosunki blizkie, niezawodnie więc wpływ namiestnika na nowe stronnictwo będzie duży.

Do stronnictwa tego wejdą zapewne: 1) demokraci galicyjscy, 2) niektórzy konserwatyści; sympatyzować zaś z nim będą ludowcy odłamu p. Stapińskiego.

Rola tego stronnictwa może być bardzo dużą i przynieść krajowi wielką korzyść, ale pod następującymi warunkami: 1) weźmie na siebie przeprowadzenie reformy wyborczej do sejmu w duchu demokratycznym, t. j. zmieni ordynację wyborczą, jeżeli już nie odrazu na czteroprzymiotnikowe prawo powszechnego głosowania, to w każdym razie, na taki system, który zwiększy znacznie wpływ mieszczaństwa, robotników i włościan kosztem wielkich właścicieli wiejskich; 2) zniesie obszary dworskie i włączy je do gmin; 3) poprze projekt prawa o ubezpieczeniu socjalnym w parlamencie; 4) przystąpi do uregulowania stosunków polsko-rusińskich, przez zapewnienie zupełnej kulturalnej autonomji Rusinom i politycznego ich równouprawnienia z Polakami [1]).

Podobno nowe stronnictwo ma istotnie zabrać się do spraw np: uregulowania stosunków polsko-rusińskich. Oby tak było istotnie.

Jeżeli p. Leo, przy poparciu namiestnika, a może i marszałka, stworzy nowe stronnictwo, które działać będzie w duchu wskazanych wyżej reform—będzie to olbrzymi krok naprzód w rozwoju stosunków galicyjskich.

Nasuwają się jednak pewne wątpliwości, z powodu niektórych osób, należących do demokracji galicyjskiej. Np. p. Dakoszyński jest nacjonalistą, mało czym różniącym się od narodowej demokracji, dla którego zwalczanie socjalistów jest ważniejsze od zwalczania narodowej demokracji. Są i inni podobni demokraci.

Demokracja galicyjska doby obecnej w masie nie posiada tej kultury umysłowej, jaką mają koła postępowe w Królestwie Polskim. Ma rutynę polityczną, pewną znajomość spraw praktycznych, co jest oczywiście ważne, brak jej jednak szerokości myśli, która na każdym kroku się ujawnia.

W kwestji stosunków polsko-rusińskich dotychczas demokracja galicyjska zajmowała stanowisko wsteczne, i, co gorsza, dziecinne, uważa, że Rusini powinni się najpierw „uspokoić”, a potym dopiero można z nimi będzie pertraktować

Może Bobrzyński i Leo zdołają, choć w pewnym stopniu, wpłynąć na nowe stronnictwo, żeby zajęło się kwestją rusińską.

Jeżeli nowe stronnictwo wystąpi wobec społeczeństwa bez żadnego programu, jeżeli w najważniejszych sprawach krajowych poprzestawać będzie na wypowiadaniu tylko poczciwych ogólników—nic nie zdziała, a stworzy tylko nową organizację osób, współzawodniczących z narodową demokracją.

Chcąc wystąpić z nowym programem, przyszłe stronnictwo powinno przygotować społeczeństwo do jego przyjęcia przez systematyczną propagandę swych zasad za pomocą pism, wydawnictw i zgromadzeń.

Reformy, których kraj potrzebuje, są zbyt poważne, łączą się ze zbyt wieloma sprawami, dotyczą zbyt wielu interesów jednostek i grup—aby je można było przygotowywać po cichu tylko w rozmowach prywatnych w wybranym kółku osób. Trzeba je postawić na porządku dziennym śmiało i otwarcie, w sposób określony, konsolidacja nowego stronnictwa ma się odbyć wkrótce, bo w końcu września i w październiku.

Ludwik Kulczycki.

---

[1]) Obszerniej przedmiot ten omawiałem w *Prawdzie* w roku zeszłym w szeregu specjalnych artykułów.

NA DOBIE.

Oświata w opałach.

Najsmutniejszą kartą z dziejów oświaty rosyjskiej będzie okres rządów ministra Szwartza. System policyjny w szkołach, powrót do wyczerpujących, bezcelowych egzaminów, zapanowanie nauczyciela-urzędnika, zamiast nauczyciela - pedagoga, ograniczenia procentowe, dozór policyjny nad moralnością młodzieży, świadectwa prawomyślności — to są główne podstawy szkoły pana Szwartza. Poza tym coraz nowe okólniki, rozporządzenia, wyjaśnienia trzymają szkolnictwo w wiecznej niepewności, bo nie można dziś wiedzieć, co *jutro* przyniesie. Cały system szkolny, cały byt szkół wisi na okólnikach. W ostatnich czasach ministerjum oświaty „w drodze poszczególnych wyjaśnień" wydało nowe przepisy przyjmowania do uniwersytetów. Jest to właściwie szereg nowych ograniczeń. Osoby, które ukończyły kurs w *wyższych* zakładach naukowych — według tych przepisów — nie mogą być przyjmowane do uniwersytetów rosyjskich na zasadzie dyplomu o wyższym wykształceniu, lecz tylko na zasadzie matury, lub po złożeniu egzaminów dodatkowych w tych wypadkach, gdy osoby te nie posiadają świadectw dojrzałości. Osoby, które ukończyły kurs wyższych zakładów naukowych, a korzystają z odroczenia powinności wojskowej, mogą być przyjmowane do uniwersytetów jedynie po odbyciu powinności wojskowej lub uwolnieniu się od niej. Do prośby, oprócz zwykłych dokumentów wraz z kopjami, powinno być dołączone świadectwo prawomyślności, wydane przez administrację miejscową. Od przedstawienia takiego świadectwa wolne są tylko te osoby, które ukończyły średnie zakłady naukowe w tym samym roku, w którym wstępują do zakładów wyższych (a więc jeszcze nie wyszły z pod wpływu szkoły p. Szwartza i nie zakaziły się poza nią duchem niebezpiecznym). Eksterni natomiast muszą w każdym razie przedstawiać te świadectwa (ponieważ, ucząc się prywatnie, pod okiem rodziców i otoczenia swojej sfery, nie dają gwarancji tej lojalności, jaką zaszczepia szkoła). Osoby, które mieszkały za granicą, dają jeszcze mniej poręki do zaufania, ponieważ mogły przesiąknąć duchem „zgniłego Zachodu". To też dla nich nie są wystarczające zwykłe świadectwa policyjne i dopiero dokumenty takie, wydawane przez *departament policji*, otworzą im wstęp do wyższych zakładów naukowych rosyjskich. Nieufność do zagranicy wyraża się nietylko co do prawomyślności, ale także wartości nauki na Zachodzie. A więc, ktoby nawet skończył tam wyższy zakład naukowy, stojący na wyżynach niedościgłych dla Rosji, ktoby skończył go chlubnie, z odznaczeniem, a nie posiadał rosyjskiego świadectwa dojrzałości, ten nie będzie miał wstępu do uniwersytetów i innych wyższych zakładów naukowych rosyjskich.

Nowe ograniczenia idą jeszcze dalej: Maturzyści z innych okręgów naukowych mogą być przyjmowani do uniwersytetów tylko po zaliczeniu wszystkich innych, którzy ukończyli gimnazja w danym okręgu. W poczet studentów przedewszystkim zaliczani są maturzyści gimnazjów, potym szkół realnych, następnie seminarzyści, wreszcie wychowańcy innych zakładów naukowych. Seminarzyści, jak widzimy, cieszą się większym uznaniem, niż wychowańcy „innych" zakładów naukowych, pomimo, że, jak powszechnie wiadomo, seminarzyści bardzo są słabo przygotowani do przyjęcia wiedzy uniwersyteckiej. Przyjmowanie w poczet wolnych słuchaczy może nastąpić dopiero po zaliczeniu wszystkich osób, które podały prośby o przyjęcie, jako studentów. Dotychczas praktykowany był zwyczaj zaliczania warunkowego, t. j. tych, którzy nie posiadali praw całkowitych, zapisywano jako wolnych słuchaczy, następnie, po zdaniu wymaganych egzaminów dodatkowych, zaliczano ich w poczet studentów rzeczywistych. Obecnie, według nowych przepisów, maturzyści, którzy niedawno ukończyli kurs średnich zakładów naukowych, lecz nie posiadają prawa zaliczenia ich w poczet studentów, nie mogą być przyjmowani jako wolni słuchacze. Kobiety zaś w żadnym wypadku nie mogą być przyjmowane jako wolne słuchaczki.

Dodajmy wreszcie, że na krótko przed wydaniem przepisów powyższych, były ogłoszone inne, krępujące egzaminowanie eksternów w ten sposób, że nadal, w razie niepowodzenia, wolno im będzie zdawać egzamin powtórnie nie po upływie pół roku, jak dotąd, lecz dopiero po roku.

Jak widzimy, przepisy powyższe, oraz wiele innych okólników i „wyjaśnień", wydanych poprzednio, w najwyższym stopniu ograniczają wstęp do wszelkich zakładów naukowych oraz utrudniają w nich naukę.

Znowu dwudziestu trzech.

Na zamku w Poznaniu wszystko odbyło się, jak przewidziano. Niemcy ubrali miasto w szaty godowe, (na co radni miejscy Polacy uchwalili zgodnie 30,000 mk.) wystawili kilkanaście tysięcy gipsowych głów cesarskich w oknach sklepowych, w otoczeniu różnych przedmiotów codziennego użytku i na ulicach robili na gwałt „entuzjazm tłumów". Polacy siedzieli w domach, biurach, warsztatach i bez koniecznej potrzeby nie spoglądali przez okno.

Cesarz przemawiał dwukrotnie: raz odpowiadając burmistrzowi, który mu wręczał klucze zamku, drugi raz na bankiecie, wnosząc toast „Prowincja poznańska hurra! hurra! hurra!"

Mowy cesarskie nosiły znane cechy krasomówczego smaku cesarza Wilhelma. „Moja rezydencja", „moja korona", „mój dom królewski", „mój pałac", — istny pan Geldhab na tronie.

Nie brakło jednak i pewnego lojalnie konstytucyjnego zwrotu. Dziękując reprezentacji pruskiego ludu za uchwalenie funduszów na budowę zamku, zwrócił się cesarz do obecnych jej członków, aby się przekonali, „czy te pieniądze zostały dobrze użyte". Nie wiadomo, czy chodziło o krytykę artystyczną, czy o „rewizję senatorską". Naturalnie, wezwanie nie wywołało żadnego rodzaju oddźwięku. Na ogół biorąc, mowa była raczej gospodarską niż polityczną. Monarcha dał w niej moralne pokwitowanie „artystom, majstrom, czeladnikom, robotnikom", sobie zaś nawzajem oddał również sprawiedliwość: „ta niemiecka prowincja pod berłem *mego* domu wzrosła do wysokiego rozkwitu" i jest „klejnotem *w mojej* koronie".

Hakatyści podobno doznali rozczarowania, gdyż spodziewali się usłyszeć w słowach cesarskich nową pobudkę do polakożerczego ataku. Polscy ugodowcy tryumfują — nad czym? że cesarz Wilhelm raczył ich pominąć milczeniem. Tak jest; szczyt, do którego ugoda w Poznańskim sięgać się ośmiela, — jest miłościwe milczenie.

Nie pozostawiono przecież najmniejszej wątpliwości, że „nowa rezydencja" wznosi się w praniemieckiej krainie, że Poznań był założony sześćset lat temu jako „miasto kolonialne", więc jest to niby patrjarcha dzisiejszego Zanzibaru, Kamerunu i Kiao-czau, że zamek ma być placówką „kultury *niemieckiej, niemieckiego* obyczaju" i t. d.

Wszystkich tych wzniosłych zapewnień, oraz dyskretnego przemilczania autochtonów niemieckiej kolonji wysłuchało 23-ch panów polskich, którzy poszli na zamek spełnić twardy obowiązek obywatelski, bo „gdyby tam nie poszli, to już dałoby zupełną pewność, że te rządy (pruskie) niezmiennie tam trwać będą", — tak pisze pan Donimirski w *Słowie*. Na Boga! czyliż panowie Łęccy, Kurnatowscy, Taczanowscy, Turnowie

i im podobni szli do zamku zakładać miny pod rządy pruskie?..."

Panie Donimirski, po co tak niemiłosiernie drwić z czytelników *Słowa*, którzy przecie, na ogół biorąc, umysłowo upośledzeni nie są.

Imiona i nazwiska tych dwudziestu trzech mężów wypisujemy poniżej ku wiecznej pamięci wdzięcznych za ich poświęcenie rodaków: *Brodowski z Psar, Czarnecki hr. z Gołajewka, Chłapowski z Kopaszewa, Dzierżykraj Morawski z Łukoni, Kwilecki hr. z Oporowa, Kaczorowski z Witosławia, Kurnatowski z Przysieki, Łącki z Posadowa, Lossow z Grabonoga, Modlibowski z Gerlachowa, Mycielski z Wydaw, Pomiński z Kościelca, Płaczek z Grembowa, Raszkowski z Jasinia, Radziwiłł Ferdynand książę, Skórzewski z Lubostronia, Taczanowski z Taczanowa, Turno z Objezierza, Żyto ze Sworowa, ks. biskup Likowski, ks. prałat Goczkowski, ks. Kanonik Klinke, ks. prałat Wanjura.*

Zaproszono jeszcze ks. Jażdżewskiego, oraz pp. Grudzielskiego i Lutomskiego. Z przyczyny choroby nie stawili się oni do apelu, dzięki czemu reprezentacja serwilizmu polskiego i w tym wypadku nie przekroczyła sakramentalnej liczby 23-ch, już uświęconej w dziejach ugody.

Niestety! tym razem feralna liczba nic nie mówi. Pod znany nam memorjał nie zdołano zebrać więcej podpisów; na bankiet cesarski może zwerbowanoby i liczniejszych ochotników, gdyż wielu czuło się powołanych — ale wybranych było mało.

Faktem jest, że z pośród zaproszonych *ani jeden*[1]) z zasadniczych powodów nie cofnął się od udziału, *ani jeden* nie wyłamał się z poniżającej solidarności. Skutkiem tego, piętno znikczemnienia pada już nie na jednostki, lecz na całą strupieszałą klasę panków i półpanków, którzy uległością dobrze tresowanego wyżła, po wielokrotnym ćwiczeniu spicrutą, nauczyli się na każde zawołanie pędzić „do nogi!"

Fauna odpływu.

We wzburzonych falach, które przetoczyły się niedawno przez nasze życie, wiele dziwotworów się wylęgło, wiele nowych produktów dojrzało, wiele mętów na wierzch się dobyło.

Po odpłynięciu tych fal pozostał osad, miejscami pożywny, miejscami jałowy, miejscami cuchnący, a w nim grzebią się dotąd rozmaite żyjątka, którym mocny prąd nadawał siłę i bieg górny, a które dziś, opadłszy na dno, poczynają mścić się za swą niemoc jadem, lub odorem.

Żywioły, które przywłaszczywszy sobie monopol opieki nad ludem roboczym, zamiast go podnosić ku górze, zniżały na dół, — które stanowiły pianę nurtu i widziały swe posłannictwo w obryzgiwaniu jego brzegów, dziś mażą sobie czoła i usta błotem, jako świętym olejem chrztu i bierzmowania „proletarjackiego". Więc napastują, złorzeczą, gryzą, a nadewszystko plują na prawo i — głównie — na lewo.

Im bardziej jakaś grupa społeczna objawia dobrą wolę dla ludu, tym zacieklej jest lżona przez tych mniemanych jego obrońców. A więc przedewszystkim partja postępowa. Na nią rzuca się, jak buldog, każdy numer tej warczącej i kąsającej prasy, która korzysta z tego smutnego przywileju, że napastowani ją lekceważą i bez odporu pozwalają jej posuwać brutalstwo do najwyższych tonów karczmy.

Do jakich zaś nut te tony sięgają, świadczy paszkwil *Młota* na redaktora *Myśli Niepodległej* — pisma, posiadającego już dziś wielkie znaczenie społeczne, a kiedyś historyczne.

---

[1]) Pisma niemieckie podają niesprawdzoną dotąd wiadomość, jakoby na zaproszenie odmownie odpowiedział ks. Jażdżewski. „Kur. pozn." ma takież informacje co do pana Lutomskiego ze Staw.

Gdyby prasa była izbą, należałoby w niej otworzyć naoścież wszystkie okna, ażeby przez nie wyleciał ten publicystyczny siarkowodór. Na szczęście, jest ona wolnym polem, z którego wiatr szybko unosi i rozwiewa najostrzejsze wyziewy. A szczególnie rozwiewa takie. Jeżeli kiedykolwiek jakiś „burżujski" organ zdołał stłumić w sobie kulturę moralną i rozkiełznać się do zniewag osobistych, zwykle ściągał poważne, a nieraz krwawe następstwa. Tymczasem, wobec tych obelg, nikt nie czuje potrzeby zadośćuczynienia i obrony swego honoru, a cały odwet zamyka się w pogardzie.

To charakterystyczne.

Wewnętrzna niewola.

Zatarg Hiszpanji z Watykanem jest jedną z tych wielkich rewelacji dziejowych, co to w krótkim przeciągu czasu otwierają ludziom oczy na niezmierny etap dokonanego cyklu przemian. Dziś nie ulega już wątpliwości, że pod egidą kościelną nie wyżyje żaden zdrowy naród, że chcąc być w zgodzie z Watykanem, trzeba pokazać mu zęby, jak to czyniły kolejno wszystkie społeczeństwa kulturalne, począwszy od Anglji, kończąc na Hiszpanji. Watykan umie być układny jedynie tylko wobec wyodrębnionych potęg heretyckich, albo wolnomyślnych, a dla podwładnych sobie krajów—jak np. Polska—ma lekceważenie, albo rygor bezwzględny *à la* Puzyna.

Innym być nie może. Bo czymże jest kościół rzymsko - katolicki? Rządem, hierarchją, egoizmem kastowym, racją stanu, z której duch religijny dawno uleciał. Tę swoją materjalną rację stanu wbija Rzym tysiącem haków żelaznych w ciało podległej sobie społeczności, nieczuły na szkodę, jaką jej wyrządza, sycąc się chciwie zażywną częścią organizmu w postaci parafji, prebend, konsystorzów. Naród, omotany siecią duchowego władztwa, przestaje być indywidualnością czynną, staje się *objektem*, który nie ma głosu, nie ma woli, nie jest brany w rachubę—chyba, że jako lennik, dorocznym świętopietrzem zasila rubrykę watykańskich dochodów niestałych.

Niekiedy wdraża się dobrowolnie w ten tryb życia czołobitny i gnuśny. I wówczas można obserwować z ubocza akty samorzutnej niewoli, dobrowolną pokorę, wybijaną czołami narodu przed byle papieskim kamerjunkrem, kajanie się całych rzesz za nieswoje grzechy, korne podstawianie pleców pod niezasłużone cięgi, bizantynizm w życiu i sztuce, nieprzebity mrok w umysłach. Rodzi się pokolenie, do szpiku przejęte duchem *wewnętrznej niewoli*, co kolanami wyciera schody kościelne, a w święta, zamiast po pracy barki rozprostować, a życie pieśnią krasić—gnie się popod amboną z rykiem, płaczem, szlochaniem; a z góry wytrząsa nań groźnie czerwonymi, jak warząchwie, rękami ksiądz.

Od góry do dołu jesteśmy przejęci, zatruci duchem dobrowolnego rabstwa. Posłowie nasi w I-ej Dumie—a poszli tam wolność budować—zamiast Marsyljanki, wybębnili akt pokory czołami u stóp papieża: *Ad pedes Tuos provoluti*... Ilekroć powstaje w naszym kraju nowy organ samopomocy, gmach stowarzyszeń współdzielczych lub kredytowych, a więc zawiązek życia dumnego, co się na siły nadprzyrodzone nie ogląda, lecz samo sobie wystarczać pragnie—natychmiast leci depesza do kard. Merry del Val'a: „zebrani tu Polacy, ślemy wiernopoddańczy hołd i błagamy Cię o błogosławieństwo"...

I niepostrzeżenie dla oka przysięgłych, lecz niemrawych patrjotów, wzwyczaja się naród do wielbienia pańskiej stopy, przybranej w trzewik kardynalski, czy but z ostrogą—wszystko jedno.

Dwugłos miłosny.

Podczas kiedy pan St. A. Kempner w Ischl, czekając na zjazd familijny książąt habsburskich, rozmyślał nad dziełem Luzzati'ego „Wolność sumienia i wolność wiedzy", p. Ludwik Straszewicz w Warszawie rozmyślał nad nawróceniem pana Kempnera, co oznacza, wedle tego ostatniego, że „poruszali się w sferze tego samego zagadnienia myślowego".

Pan Straszewicz ma wysoki szacunek dla głębokiej wiedzy uczuć obywatelskich i patryjotyzmu p. Kempnera, ten zaś nawzajem ma szczere i gorące uznanie dla humanitaryzmu i tolerancji „kochanego pana Ludwika", mimo więc różnicy poglądów, istnieje „dużo punktów stycznych nietylko sympatji, lecz współdziałania społecznego".

Brawo! Dawno u nas nie polemizowano w ten sposób. Czyżby się zanosiło na istotną poprawę smaku i podniesienie poziomu w dyskusjach dziennikarskich? Wypadałoby temu przyklasnąć — jednakże przy dalszych próbach radzimy strzec się szarży w przeciwnym kierunku. Źle jest skakać sobie do oczu dla akcentowania różnicy zdań, dobrze jest argumentować bez ubliżania przeciwnikowi — ale czyż zaraz potrzeba rzucać mu się na szyję? Czytelników nie obchodzą i nie interesują, ani wzajemne połajanki, ani też komplimenty dziennikarskie, natomiast interesować ich winna kwestja, o którą spór toczą. Tym razam jednak zatarła się ona, a pozostało, jako konkluzja dyskusji, „współdziałanie wzajemne".

Właściwie w założeniu chodziło podobno o co innego, o tezę, postawioną przez p. Straszewicza: „walka z katolicyzmem u nas jest wysoce niebezpieczną, więc niepożądaną, na jakimkolwiek gruncie staniemy" gdyż „katolicyzm stał się przez wieki współżycia wyznaniem naszym narodowym".

Rzuciwszy okiem po obozie postępowym, wybrał „kochany pan Ludwik" p. Kempnera, jako człowieka, którego w pierwszym rzędzie można i należy o tej prawdzie przekonywać. Wybór był trafny. Interlokutor oponuje miękko. Kwestję związku katolicyzmu z polskością, jako „temat zbyt obszerny", zostawia niemal nietkniętą, broni raczej katolicyzmu przed fanatyzmem i staje się rzecznikiem modernizmu wobec Stolicy Apostolskiej. W jednym punkcie tylko ani na krok nie ustępuje terenu, mianowicie nie pozwala odebrać „inowiercom" prawa zwalczania klerykalizmu katolickiego, w szczególności zaś encykliki Boromeuszowej.

Jest to może najsłabsza pozycja obronna, co zresztą zdradza sam argument, że inowiercy są bezpośrednio przez ten fanatyzm atakowani. Ależ tak! tak, tylko tu już walka schodzi z postępowego stanowiska. Na to zdobyć się może z punktu widzenia najreakcyjniejszego fanatyzmu rabin względem kościoła katolickiego, ksiądz względem judaizmu, a „bizantynizm" względem ich obu. Dla tego to nie ze względów zasadniczych, lecz taktycznych niektórzy wolnomyśliciele radzą unikać takich sytuacji, gdzie zachodzi wątpliwość, czy piszący broni zasady, czy broni siebie.

Naturalnie, że i ta drobnostka nie poróżni *Słowa* z *Nową Gazetą.* Obecny dwugłos jest pono przegrywką do nowej koncentracji i zaiste nie będzie to nic złego, jeżeli przez nowe ugrupowania na zasadzie powinowactwa duchowego pewne zróżniczkowania w obozie postępowym nastąpią.

Nie wiadomo, czy przez nadmiar rozczulenia, czy z braku czasu nie wyzyskał p. Kempner bardzo słabych punktów argumentacji p. Straszewicza.

Nie zaproszeni do dyskusji, dalecy od chęci zakłócenia tak wzruszającego duetu — nie możemy jednak pominąć sposobności sprostowania pewnych twierdzeń: „Duch i przemoc fizyczna Bizancjum" nie jest bynajmniej takim „niebezpiecznym przeciwnikiem kościoła rzymskiego", jak sądzi pan Straszewicz. Nieraz już wykazano i my mieliśmy sposobność stwierdzić w *Prawdzie* współdziałanie tych dwuch potęg. Przytaczaliśmy nawet pewne fakty, daty, nazwiska i nie spotkaliśmy się z żadnym zaprzeczeniem, bo choć posiadaliśmy materjał wiele obfitszy i dający się udowodnić, wybraliśmy tylko ten, który już został urzędownie stwierdzony.

„Ile razy ksiądz się zbuntował przeciw swej władzy, — mówi p. Straszewicz — bizantynizm stawał przy nim w charakterze opiekuna, doradcy i pokusy". Nie, panie;—tyle razy biskup posyłał po niego żandarmów i osadzał go w klasztorze — i tak działo się aż do manifestu tolerancyjnego.

„Katolicyzm spaja nas z Litwą", pisze pan Straszewicz; tymczasem wszystkie zatargi polsko-litewskie toczą się dziś na gruncie kościoła i redukują się do walk księży litewskich z polskością,lub księży polskich z Litwinami.

„Katolicyzm daje nam poważnego sprzymierzeńca w Niemczech" pisze jeszcze dalej. Ten sprzymierzeniec nigdy nie użył swej potęgi dla realnej obrony naszych słusznych praw, a naszą obronę ubezwładniał. Kwestja polska była u niego zawsze punktem, przeznaczonym na odtargowanie w handlach z rządem, a zarazem wędką na wyborców śląskich i na głosy polskie w parlamencie.

Wreszcie, czyż nie zakrawa na mimowolną złośliwość twierdzenie, że, gdyby nie wpływ Kościoła, „jedynym obrońcą praw i tępicielem zbrodni byłby stójkowy".

Mamy przekonanie, że obie te policje działają z bardzo lichym rezultatem i na gwałt domagają się sukursu, że zaś „praca to ciężka, trwająca długo, może wieki" — należy ją czemprędzej zacząć.

Za język polski.

Jedna za drugą instytucje społeczne i ekonomiczne u nas padają pod cięciem miecza administracyjnego — za język polski. Jeszcze nie ochłonęliśmy z wrażenia ciężkiego po zamknięciu tak wielce pożytecznej i niezbędnej instytucji, jak Towarzystwo lekarzy polskich, gdy oto zamknięto Towarzystwo rolnicze we Włodawie, również za język polski. Było to jedno z najruchliwszych towarzystw rolniczych na prowincji. Liczyło 600 członków i oddane było wyłącznie pracy praktycznej. Celem jego było: szerzenie kultury rolnej, rozpowszechnianie wiedzy rolniczej i wspólna obrona interesów gospodarzy rolnych. Nietylko od spraw politycznych, ale nawet od ogólnych ekonomicznych Towarzystwo to stało zdala, a jego członkowie prowadzili żywot zaściankowy, nie wybiegając poza miedzę swych spraw prywatnych. A jednak i ta instytucja stała się „niebezpieczną" i „występną". Według przepisu, zawartego w instrukcji ministerjalnej, w miejscowościach, z wyłączną ludnością ruską lub litewską, cała biurowość i prowadzenie wszelkich spraw w stowarzyszeniach ma się odbywać w języku rosyjskim. Na poczekaniu stworzono statystykę policyjną i, wbrew prawdzie oczywistej, zaliczono Włodawskie do takich miejscowości, w których winien panować w biurowości język urzędowy. Na tej podstawie zamknięto Towarzystwo rolnicze Włodawskie. Jest to przygotowanie gruntu dla przyszłej Chełmszczyzny wyodrębnionej, ażeby nie było zbyt dużo roboty po jej urzędowym i formalnym wyłączeniu.

Rusyfikacja przez nieuctwo.

Jeżeli u nas, w przyszłości, powstanie szkoła dziennikarzy, to przedewszystkim do jej programu trzeba będzie wprowadzić gieografję kraju. Brak bowiem jej znajomości w zakresie szkół elementarnych widzimy prawie codziennie. W telegramach agien-

cyjnych i we wszelkich notatkach, opartych na prasie rosyjskiej, czytamy w naszych dziennikach stale: *Czigiryn*, zamiast Czehryn, *Kazatin*, zamiast Koziatyn, *Zmerynka*, zamiast Zmierynka, *Proskurów*, zamiast Płoskirów, *Kremieńczug*, zamiast Krzemieńczuk, *Śmieła*, zamiast Śmiła i wiele innych. Jednocześnie ci sami panowie, którzy wykazują taką znajomość gieografji, w swoich przekładach z prasy rosyjskiej wprowadzają wprost niemożliwe rusycyzmy. Już pomijamy stale używane: *nie tak dawno*, zamiast *niedawno*; ale są całe zwroty i wyrazy, wprowadzane żywcem z języka rosyjskiego i gwałcące nasz język ojczysty. Wynika to stąd, iż większość redakcji pism codziennych dla oszczędności posługuje się terminatorami dziennikarskimi. Gdy terminator szewcki źle pokraje skórę, to ten mu złoi jego własną skórę. Tej zasady nie można stosować w dziennikarstwie; ale skoro dzienniki wzięły na oszczędność i wprowadziły do swych redakcji licho płatnych analfabetów, to przynajmniej niech każdego z nich zaopatrzą w gramatykę polską (wszak to kosztuje nie wiele) i niech przed biurkiem każdego powieszą najczęściej używane nazwy miejscowości. I na to nie trudno się zdobyć przy pomocy słownika gieograficznego.

BADANIA NAUKOWE.

W poszukiwaniu nowego światopoglądu.

(Z powodu pism Stanisława Brzozowskiego p. t.: „Kultura i życie" „Legienda młodej Polski" i „Idee").

(Ciąg dalszy).

III.

„Idee" uwydatniają znaczną ewolucję w pojęciach religijnych Brzozowskiego. W „Legiendach młodej Polski" okazywał tylko sympatję do katolicyzmu, charakter ich jednak nie był określony. Nie wypowiadał też swego zdania o dogmatach chrześcijańskich. W „Ideach" określił już swój stosunek do nich.

„Religje, mówi Brzozowski, narastają żywiołowo, stąd w nich to mnóstwo odkryć psychologicznych, które muszą zdumiewać każdego badacza. Do ich rzędu należy to, na którym oparte są czynności sakramentalne. Istotnie trwałe i głębokie znaczenie ma w naszym życiu duchowym to tylko, co jest związane z pewnymi całkowitymi, a więc nie wyłącznie myślowymi, lecz i cielesnymi, fizycznymi czynnościami i przeżyciami; tworzy się w ten sposób dla wewnętrznych rozterek, dramatów naszego wewnętrznego życia system czynności, działań fizycznych, które mogą spowodować rozwiązanie, jakiego nie możemy znaleźć w samym życiu... Tworzy się w ten sposób po nad naszym życiem codziennym inne, o swojej własnej pamięci i woli, o własnym szkielecie, naokoło którego grupują się, obrastają przeżycia, wymagające wiary w bezwzględne znaczenie osobistości ludzkiej, a nie znajdujące jej w naszej osobowości praktycznej.

W ten sposób życie sakramentalne jednostek staje się pewną rzeczywistością biologiczną i organizacją stosunków pomiędzy świadomym życiem tej grupy, a jej podświadomością, systemem tych dróg i środków, poprzez które podświadomość wkracza w życie danej grupy i rozwiązuje powstające w nim zagadnienia" [1].

Praktyki religijne mają więc stworzyć system czynności, które umożliwią podświadomości rozwiązanie różnych zagadnień.

Wszystko to jest bardzo tajemnicze i obiecujące. O jednym tylko Brzozowski zapomniał: że ludzkość, w osobie narodów najbardziej cywilizowanych, wyszła już z tej fazy, w której rozwiązywano zagadnienia w powyższy sposób.

Sama praktyka, samo życie doprowadziły do rozterki między zalecanym przez autora sposobem rozwiązywania zagadnień a potrzebami umysłowymi i moralnymi jednostek i społeczeństw. Jeżeli Brzozowski chce nawrócić ludzkość do dawnych dróg, powinien przynajmniej postarać się uzasadnić, dlaczego powtórzenie starych eksperymentów ma dać inne zupełnie wyniki, aniżeli poprzednio; powinien nam przedstawić, w jaki sposób podświadomość przy pomocy praktyk sakramentalnych rozwiązuje rozmaite problematy. Zresztą, większość ludzi i dziś jeszcze oddaje się praktykom religijnym, a jednak nie widzimy, żeby dochodziła do wyjaśnienia najwyższych zagadnień, przeciwnie, przyjmuje zupełnie gotowe odpowiedzi nie za pośrednictwem „podświadomości", lecz przez pośrednictwo katechizmu i duchowieństwa, działającego świadomie.

„Gdyby mi ktoś kazał sformułować najgłębszy pogląd na życie, mówi Brzozowski, powiedziałbym: że musimy w nim widzieć moc wiecznie twórczą, istniejącą poza obrębem naszego całego świata treści, a więc, że nie może ona być ujęta w pojęciu, ani żadnej pojęciowej logice; że następnie, świadome nasze ja tworzy warunki, którym musi czynić zadość to, co chce ono, żeby żyło, że ten ideał, przez nas stworzony, jest wtedy prawdziwie twórczym rozszerzeniem naszej istoty, gdy w ten sposób przekracza nasze życie obecne, że z niego bez tworzenia, bez nowej syntezy ponadpojęciowej i w stosunku do tego, co w danym momencie jest dla nas jedyną rzeczywistością, ponadrzeczywistej, powstać nie może; że to tylko dźwigać się może dzięki nam i przy naszym udziale z wiecznego początku, co zostało w ten sposób przez świadomość naszą zrodzone; że wreszcie w tej tylko formie wyobrazić sobie możemy życie, dzięki któremu i w którym tworzyć możemy wszystko, co jest dla nas wartością.

Gdy tylko zaczniemy nadawać którejkolwiek z tych postaci zycia formę pojęciową, już zamkniemy samych sobie w granicach stworzonego; gdy tylko poprzestaniemy na jednej z tych postaci, zubożymy i uniemożliwimy naszą działalność w jakimś jej zakresie. Wszystkie te postacie muszą istnieć w naszym życiu duchowym, nie jako coś, co może być zawarte w naszej działalności, lecz jako coś, ku czemu wola nasza i dusza się wytężają i co zapewnia trwanie wartościom, stanowiącym treść naszych wytężeń". [2])

Przytoczyłem dosłownie długi ten ustęp, żeby wykazać całą chaotyczność i niejasność myśli Brzozowskiego.

„Teraz, mówi, mógłbym moim czytelnikom nie powiedzieć, że sformułowałem tu znaczenie katolickiego dogmatu Trójcy i istotnie jest mi niezmiernie przykro, ale muszę stwierdzić, że reprezentuje on najgłębszy i najszerszy stosunek do życia, jako dźwigającej nas i dźwiganej twórczości. Że zaś tak jest, nie dziwi to nikogo, kto zdaje sobie sprawę, że dogmat ten urósł z pracy nad zagadnieniem dziejowym tego rodzaju: w jaki sposób mają myśleć i wierzyć o sobie i świecie ludzie, aby zostały zachowane najgłębsze siły kulturalne, wytworzone przez ludzkość w dziejach starożytnych, których najpełniejszym spadkobiercą został na szereg wieków Kościół katolicki". [3])

Mamy tu próbkę dowolnego interpretowania dogmatów. Trudno jest też zrozumieć związek myślowy między dwoma przytoczonymi wyżej ustępami.

[1]) Idee st. 479 i 480.

[2]) Idee st. 486 i 487.

[3]) Idee st. 487.

Stosunek swój do katolicyzmu Brzozowski formułuje w sposób następujący: „Gdybym był katolikiem, nie ukrywałbym tego: uważam się za człowieka religijnego, ale wierzę, że ile razy wiara religijna jest sformułowana pojęciowo, staje się czemś zasadniczo antyreligijnym". [4])

Następnie przechodzi do scharakteryzowania roli katolicyzmu u nas. „Katolicyzm, mówi, jest jednym z najszerzej i najgłębiej sięgających organów wychowania woli polskiej; każda wiara, która istnieje w jakimś narodzie, jest zawsze organem duszy tego narodu; ja ani zwalczam, ani nie popieram katolicyzmu, lecz tylko chcę, by dźwigała się w nas rzetelna wola polska, a nie miałkie zadowolenie z siebie rozmaitych grup polskich"... [5])

Dochodzimy wreszcie do bliżej nie określonego pojęcia „duszy polskiej", której objawem woli jest katolicyzm. Stąd jego znaczenie, konieczność jego pielęgnowania i dalszego rozwoju.

Zachodzi teraz pytanie, który katolicyzm jest objawem woli polskiej: czy katolicyzm humanistów polskich, czy jezuitów z XVII wieku, czy dzisiejszy wreszcie? Na pytanie powyższe Brzozowski nie daje żadnej odpowiedzi.

Następnie należałoby zastanowić się, czy zawsze wszystkie objawy „woli polskiej" były korzystne dla Polaków? Czy interes narodu wymaga, żeby wszystkie objawy jego woli były pielęgnowane? Wreszcie, po czym poznajemy, czy coś jest objawem woli narodu czy nie?

W swej ewolucji umysłowej doszedł Brzozowski do pomysłów narodowo-demokratycznych, które są zawsze nieokreślone. Nasi nacjonaliści wojują także pojęciem „duszy polskiej", „woli polskiej"; również, jak Brzozowski, nie mogą wyjaśnić tych pojęć.

Zestawiając jednak powyższe poglądy narodowych demokratów i Brzozowskiego, musimy przyznać naszym nacjonalistom wyższość, którą zresztą przyznaje chętnie i autor „Idej".

„Narodową demokrację cenię, mówi Brzozowski, za to, że pierwsza świadomie i celowo zerwała z tym punktem widzenia (rozkładającym „wszystkie te właściwości myśli i duszy, bez których nie może istnieć żadne społeczeństwo (*przyp. mój*), że zrozumiała to, co wypowiada Meredith w ten sposób: „żaden naród nie istnieje mocą tych cech, za które go się kocha po śmierci". [6])

Wszystko to jest tajemnicze. Nie wiemy, jakie to cechy myśli i duszy narodu tępiono u nas przed narodową demokracją, i jakie to są cechy, które przynoszą miłość narodowi po jego śmierci, ale za życia są mu wrogie. Możemy się tylko domyślać, że Brzozowski mówi tu o pozytywizmie, racjonalizmie i prądach anty albo areligijnych. Jeżeli tak jest istotnie, powinien był myśl swoją poprzeć argumentacją.

Jak zwykle, tak i przy omawianiu korzyści narodowych, Brzozowski jest niekonsekwentny. Istotnie, uznaje konieczność opierania rozwoju narodu naszego na gruncie jego woli, zarysowującej się w jego historji; zarazem jednak uznaje, że jedynym kryterjum w ocenie form życia duchowego narodu jest „wzmożenie ...siły biologiczno-ekonomicznej, zdolności wytwórczej społeczeństwa". [7])

Otóż kryterjum to nie przemawia na korzyść pielęgnowania objawów „woli polskiej" w ogólności i katolicyzmu w szczególności. W epoce niepodzielnego panowania katolicyzmu w drugiej połowie XVII i w początkach XVIII w. naród nasz upadł najniżej i wytwórczość jego materjalna i umysłowa cofnęła się wstecz. Brzozowski może odpowie, że wspomniana epoka była zwyrodnieniem katolicyzmu. Odpowiedź taka będzie jednak nieuzasadniona, gdyż katolicyzm ówczesny niezawodnie wzmacniał się po epoce rozkładu.

Również inne objawy historycznej „woli polskiej", jak wadliwy ustrój państwowy oraz pewne nasze instytucje społeczne nie sprzyjały rozwojowi „siły biologiczno-ekonomicznej i zdolności wytwórczej społeczeństwa".

Brzozowski podaje swym czytelnikom starą frazeologję narodowo-demokratyczną, nie popierając jej żadnymi argumentami.

Ci, którzy chcieli uznać autora „Idej" za przewodnika narodu, nie mogą wyciągnąć z pism jego żadnych wskazówek z powodu ich ogólnikowości i sprzeczności.

(c. d. n.) *Ludwik Kulczycki.*

[4]) Idee st. 360 odsyłacz.

[5]) Idee st. 363 odsyłacz.

[6]) Idee st. 361 i 362.

[7]) Idee st. 424.

Fr. Bujak. **Galicja** t. II Leśnictwo—Górnictwo—Przemysł, Lwów—Warszawa 1910 s. IV i 510.

Tom I dzieła Fr. Bujaka wywołał powszechne i usprawiedliwione zainteresowanie. Autor do znakomitej charakterystyki społeczeństwa i dokładnego obrazu Rolnictwa w Galicji dodał rewizję całej polityki gospodarczej, prowadzonej przez państwo, kraj i społeczeństwo, a przeprowadzał tę rewizję, jak miałam sposobność zaznaczyć z punktu widzenia szczerze obywatelskiego. [1])

Tom II, poświęcony różnym gałęziom przemysłu, włączając w to i przemysł leśny, przedstawia materjał, mniej interesujący ogólnie, ale nie mniej dla Galicji doniosły, a dziś, w chwili, gdy uwaga powszechna zwróconą jest ku uprzemysłowieniu kraju, niezmiernej wagi. Autor już w przedmowie zaznacza, że „dzisiaj walka o byt narodowy" toczy się przedewszystkim na polu ekonomicznym i że na ziemiach Rzeczypospolitej należy „wytworzyć na nowo" samodzielną i zdolną do życia organizację gospodarczą. Prawdopodobnie przeto ocenia i przemysł Królestwa, jako formację napływową, która poprzedza rozwój przyszłego, związanego organicznie z ekonomicznym życiem kraju przemysłu. Trzyma się jednak granic Galicji, porównań nie przeprowadza, w słusznym rozumieniu, że, jakkolwiek byłyby one zajmujące dla szerokiego ogółu, stosować się musimy w Galicji do ram, zakreślonych przez ustawodawstwo i stosunki, wynikające ze związku państwowego z Austrją. Kwestji robotniczej tom II nie obejmuje, autor obiecuje zająć się nią później, dołączając obraz poszczególnych gałęzi przemysłu.

Korzystając z obficie nagromadzonych danych statystycznych, zajmę się tu obszerniej działem, traktującym o przemyśle przetwórczym i górniczym.

Stwierdzono już wielekroć, że Galicja nie ma przemysłu wielkiego. Potwierdził to spis przedsiębiorstw i zatrudnionych w nich osób z 1902 r., który, wliczając przemysł wielki i drobny, górnictwo, hutnictwo, oraz dzierżawy rolnicze, podaje cyfrę 154840 zakładów czynnych, które zatrudniają 334649 osób, licząc przedsiębiorców, robotników, i urzędników. Cyfry te mówią same za siebie. Przeważa przemysł najdrobniejszy. Zakładów, zatrudniających 1 osobę, jest 30682, obok 71198 pojedynczo pracujących przemysłowców domowych. Natomiast przedsiębiorstw wielkiego przemysłu jest 333, a pracujących w nich osób tylko 56704. Jakkolwiek na Galicję Zachodnią wypada 27% zakładów, a 31% zatrudnianych osób, pod względem organizacji przemysłowej stoi ona, jak twierdzi autor, wyżej od Wschodniej, gdyż używa więcej motorów. Złożyło się na to skoncentrowanie w tej

[1]) *Prawda* z 1908 r.

części kraju całego prawie fabrycznego przemysłu tkackiego, fabryk metalowych, hut szklanych, papierni itd. Twierdzenie to, oparte na uwzględnieniu jednego czynnika, tylko upada wobec danych, skupionych w samej książce, które wykazują przewagę Galicji Wschodniej pod względem rozwoju tartaków, młynów, gorzelni, fabryk tytoniu i maszyn.

Galicja wschodnia jest również głównym terenem przemysłu naftowego i wosku ziemnego, gdyż sól, węgiel, cynk i żelazo dobywa się przeważnie w zachodniej części kraju.

Obok niepomyślnych cyfr, ilustrujących embryonalny stan przemysłu wielkiego i nizki poziom rzemiosła, zaciekawia nas, czy istnieją przynajmniej warunki, uzasadniające rozwój jego na przyszłość. Do faktów pomyślnych z ostatniej doby zaliczyć należy znalezienie nowych pokładów węgla na zachodzie, w pow. Chrzanowskim głównie. Z produkcji 1907 r. sprzedano do Niemiec, Węgier, i Rosji 364 tys. q. [2]), w krajach austrjackich po za Galicją $11^1/_2$ miljonów q. Wywóz ten równoważy niemal dowóz $7^1/_2$ mil. q. (w 1908 r.) węgla ze Śląska pruskiego i z Królestwa, zużytego głównie na potrzeby dróg żelaznych. Import pruskiego węgla, usprawiedliwiony niższą wartością koloryczną węgla galicyjskiego, popierany jest przez austrjacką taryfę kolejową i premię eksportową 96 koron za wagon ze strony syndykatu węglowego na Górnym Sląsku.

Obok tej walki preciw galicyjskiemu przemysłowi węglowemu, który, jak twierdzą znawcy, ma przed sobą możność daleko idącego rozwoju, znalazł się inny nie mniej radykalny sposób oddania tego źródła krajowego bogactwa w obce ręce. Całe kopalnictwo węglowe jest dziś w ręku kapitałów francuskich i niemieckich, począwszy od największego przedsiębiorstwa, jakim jest gwarectwo w Jaworznie (należy do baronów węglowych Guttman, Springer i Oppenheim), aż do Galicyjskich zakładów Górniczych na gruntach hr. Potockiego, przy utworzeniu których dopomogło dolno-austrjackie Tow. eskontowe, i których prezesem jest Feilchentfeld w Wiedniu.

Lepiej pod względem udziału kapitałów krajowych przedstawia się kopalnictwo naftowe. Kapitały angielskie i belgijskie, działające dawniej, wycofały się po licznych stratach. Kapitały niemieckie, które zawładnęły prawie wyłącznie całą produkcją nafty w Rumunji, zaangażowane są na 36 mil. koron. W największych przedsiębiorstwach zaś zaangażowane są głównie kapitały galicyjskie i austrjackie, tworzące towarzystwa akcyjne, na czele których stoją przeważnie polacy. Największym z nich jest galicyjskie karpackie Tow. naftowe, spuścizna po Bergheimie i Mac Garreyu, z kapitałem akcyjnym 16 mil. koron.

Produkcja nafty jest przecież zależną od przemysłu rafineryjnego, w którym kartele rafinerów w Austrji i na Węgrzech obniżały ceny do takiego poziomu, że bogactwo ropy, wybuchające co lat parę z obfitością olbrzymią, zamiast sprowadzać korzystny stan interesów, daje wielekroć straty. (Ceny ropy spadają do $1^1/_2$ kor. za q.). W Galicji znajduje się obecnie 54 rafinerji, przeważnie drobnych, oprócz wielkich przedsiębiorstw w Glinniku marjampolskim, Drohobyczu i Niegłowicach, które płacą, każda wyżej miljona koron podatku. Rafinerje te przerabiają 29% całej dobywanej nafty. Przyszłość nafciarstwa galicyjskiego zależy od wzrostu konsumcji w Austrji, dotąd bardzo nizkiej, po $5^1/_2$ kg. na głowę, gdy w Stanach Zjednoczonych, Szwajcarji, Belgji, Norwegji przypada wyżej 20, a w Niemczech $17^1/_2$. Winien temu nizki stan oświaty i zamożności ludu, zwł. w krajach sławiańskich, ale także i austrjacki fiskus, który naftę obłożył wysokim podatkiem konsumcyjnym (13 kor. od q.).

[2]) q., kwintal=100 kg.

Kopalnie soli stanowią całkowicie monopol państwa. Największą kopalnią jest tu Wieliczka, która daje prawie połowę wszystkiej soli jadalnej, produkowanej w Austrji. W porównaniu z wiekiem XVIII, produkcja soli powiększyła się prawie w dwójnasób, ale wartość jej nie wzrasta. Przeciwnie, wartość ta obniżyła się z 22 na 17 mil. koron w ciągu ostatnich lat 50-u. Oddziaływa na to nietyle zniżka ceny, która jest dotąd dość wysoką, jakkolwiek unormowaną została przez Wydział krajowy, ile zaniedbana technika kopalni, które wraz z warzelniami zalicza autor do archeologicznych zabytków. Saliny galicyjskie przydzielone są do administracji skarbowej, zarządzane biurokratycznie, pozbawione maszyn elektrycznych, zaprowadzonych już od lat 10 w Austrji Górnej, w skutek czego produkcja wzrasta w powolnym tempie, a koszta jej są wciąż nader wysokie. Dążyć przeto należy, aby kraj wydzierżawił saliny od rządu, co już kilka razy podnoszonym było w sejmie. Ponieważ biuro solne przy Wydziale krajowym potrafiło zorganizować handel solą, obniżając ceny soli jadalnej, bydlęcej i fabrycznej i uchronić ludność od wyzysku pośredników, byłoby pożądanym, aby i sama produkcja przez kraj była prowadzoną.

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

LITERATURA i SZTUKA.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: **Szkice** 1910 — „Nowości Literackie" tom 36.

Tom obecny jest zbiorem utworów, przeważnie znanych nam już z czasopism, lub wydań wcześniejszych w innym układzie. Zawiera on fragmenty twórczości z ostatnich lat kilkunastu, wahające się między liryką a satyrą, między powagą cierpienia a swawolą ironji. Jest tu barwne, z entuzjazmu poczęte, studjum „O Arnoldzie Boecklinie" i „Listy z podróży" i zabawny „Wieczór Florencki" i uszczypliwy wiersz o „Lulusi" i natchniony przez witraże Wyspiańskiego spiżowy poemat o „Królu Kazimierzu". Na szerokim tle zagadnień rysuje się w całej pełni swej odrębnej charakterystyki talent poety. Wielorakie i różnorodne tematy wzajem splatają się i dopełniają, uwypuklając kształty jego twórczej jaźni: ujmują one zasadnicze linje jego ewolucji duchowej, znacząc fazy następcze ostro i dobitnie.

Tetmajer, rozkosznik i pesymista zarazem, poeta o duszy, zagubionej śród śnieżnych zimowych pustyń Tatrzańskich, w owej głuszy zapadlisk

> „niedostępnych śród złomów, gdzie jeden się wciska
> mrok i gdzie wicher końcem swych skrzydeł uderza
> z głuchym jękiem, jak końskie na polu kopyto,
> uderzające w zbroję martwego rycerza",

piewca rozsłonecznionych modrych hal, kochanek błękitnej zadumy i jednocześnie „Szalony Faun — ścigacz nimf nagich", marzący jakiś „kraj bajeczny — jakieś ciche święto", nadziemskie wcielenie Ciszy, Przestrzeni i Swiatła: Tetmajer pozostanie dla nas — dla pokolenia współczesnego — poetą naszej Młodości. Urok imienia jego wiąże się ze wspomnieniem epoki, kiedy trzy jedynie gwiazdy rozświetlały mierzchnące niebo poezji polskiej: Konopnicka, Asnyk, Gomulicki.

Każde z nazwisk owych ogniskowało w sobie głębiny uczuć zbiorowych i promieniowało nazewnątrz ogromem suggiestji, atoli, poza granicami ich ekspresji twórczej, istniały w piersiach narodu struny nowe, napięte aż do bólu, nieme i tragiczne, czekające dłoni, którąby z nich jednym uderzeniem, w jednym

jęku, dobyła melodję rozszlochaną, pieśń „wielką jak sny młodości”, tętniącą jak pożar...

Wówczas przyszedł Tetmajer i, kiedy wichrem świeżego natchnienia uderzył w owe struny, zdało się, że wyśpiewa to wszystko co nas boli, to wszystko co się w nas kruszy i rwie, — „co się komu w duszy gra”...

Dziś widzimy, że były to nadzieje złudne.

Przekonaliśmy się rychło, że natchnienia jego, acz głębokie i rwące, płynęły wązkim bardzo korytem, były jednostronne, ściśle osobiste, zawarte w ciasnym kręgu przeżyć. Wiemy wszakże, co znaczą spóźnione doświadczenia w życiu: cóż tedy *a fortiori* mogą one być warte w poezji?

Skala oddziaływań poetyckich mierzy się nie szerokością nurtu twórczego, ale pojemnością serc, które je chłoną, czyli potęgą odczuwania.

Kazimierz Tetmajer w swych „Poezjach” dotknął zaledwie kilku strun duszy polskiej, atoli za dotknięciem tym odebrzmiały mu całe chóry tęsknot i całe otchłanie męki.

Asnyk i Gomulicki, równie jak Marja Konopnicka, snuli pieśni swe z dawnego wątka poezji romantycznej. Tetmajer, natomiast, stał się odkrywcą źródeł nowych w twórczości poetyckiej. Uprzedzał on pojawienie się nowych konstelacji, zapowiadał erę nieznanego rozkwitu poezji; nie zapominajmy: że był on jednym z pierwszych, którzy z zapałem powitali wschodzące słońce Wyspiańskiego, składając hołd jego żywiołowej mocy.

Wszakże te same powody, które wyniosły wysoko imię autora „Haseł” i znaczenie jego poezji, skrywały w sobie jednocześnie zadatki blizkiego jej zmierzchu: jako zwiastun nowych prądów, wzbił się on szybko ponad wysychające łożyska prądów dawnych, przez krótką chwilę królując niemal samodzielnie nad „krajem młodości”, spotkawszy jednak wstającą łunę „Młodej Polski”, pobladł w jej rubinowym pożarze, przygasł i wreszcie uległ zaćmieniu. Z kolei poddawał się wpływom Przybyszewskiego i Wyspiańskiego, ostatecznie wytrąciła go z orlego gniazda samotnej dumy— Rewolucja, podając mu do rąk miast młota lub pochodni — konwie ulewnej deklamacji.

* * *

Swego czasu palił on serca młode grozą płomiennej goryczy i po przez sny tęsknoty wołał duszom zrozpaczonym twarde, nieubłagane „stań się!”, chociażby okrzyk ów miał dla nich być samosądem i wyrokiem zagłady...

Marzył samotnie i górnie i umiał ludzi do marzeń górnych zmuszać.

Dzisiaj stał się on powieściopisarzem utalentowanym i poczytnym, a jeśli ma jeszcze jakoweś teraz sny i marzenia, to jedynie widzi w nich chyba jakąś nową *trylogję historyczną* na zamówienie pp. Wolffa i Gebethnera przez siebie skomponowaną.

W. Rzymowski.

Król Kazimierz.

Fragment ze zbioru „Szkiców” K. Przerwy-Tetmajera.

Jakoby dzwon z dalekiej, odległej wieży uderzył, tak dźwięczy imię: Piast.

Z dalekiej, odległej wieżycy...

Pany to dumne, śmiałe i ogromne, władoludy potężne, coś, jakby baśń...

Jakoby baśń stara, prawieczna, jakoby z lasu starego otwierała się czeluść ciemna, a z niej, pomiędzy uplotu konarów i gałęzi szła pieśń.

Lub, jakoby z czeluści takiej leśnej, ze starego lasu, patrzała z miedzi przyczerniałej twarz, niby miesiąc z chmur.

Oczy potężne, jako jeziora świetne w ostrym zimnie porannym w górach; broda długa, kędzierzawa; czoło, jak stal obucha odwróconego ku patrzącym topora; wąsy długie, z chłopska; i usta rozkazodawcze; korona na głowie złota, rubinami sadzona — — to Piastowie.

Książęta i króle.

Przewity błyskami piorunów, trwałymi, zastygłymi, nieruchomymi—ów las, skąd twarz królewską widno,

Znak ich mocy umarłej.

Jako węże gięte, złote, przewinne pośród konarów, świecą zastygłe, zaległe, umarłe błyskawice woli królewskiej.

Piastowie.

To tak, jakoby sen.

Zali nie śniło się tylko, że byli?

Zali nie śnił Bolesław Chrobry, Bolesław Śmiały, Bolesław Krzywousty, Łokietek, Kazimierz Wielki i ojciec ich, praojciec kołodziej Piast?

I jestże gdzie cudniejsza, większa legienda królewska?

Jestże gdzie piękniejszy królów początek? Większą poezją owiany? Z chłopów, przez anioły, od Boga zesłane, wołany, wstaje król i królem ojcem jest sławnym, przez wieki władnącym.

Ale nie zostało też nic, oprócz poezji.

Olbrzymi chór dzwonów—a co dzwon, to inny dźwięk.

A to są imiona książąt i królów Piastów i panien Piastowskich, dzwony srebrne i złote, i brylantowe, i jako surmy, i kotły wojenne, i jako harfy miłosne.

Byłaż gdzie kiedy dynastja bujniejsza, bardziej królewska, bardziej pańska?

To nie byli urzędowi dorobkowice, jak późniejsza arystokracja polska, — to byli chłopi, przez anioły Boskie na tron posadzeni.

Miło mi, jakoby pod dębu szumem, pod cieniem pamięci i sławy Piastów siąść.

Morze wieków pieni się przedemną, przedemną przewalają się fale królów, cesarzów, faraonów, sułtanów, imperatorów, i rexów i bazyleusów pradawnej Grecji.

Od niniwskich dawnych panów, od panów Egiptu i Assyrji...

W tym morzu płynie fala ze spiżu i złota — — to Piastowie.

Ostatni, ogromny jej karb—Kazimierz Wielki.

A w wyobraźni mojej staje tak, jak go pojął Wyspiański: trup, pełen największej powagi.

Jemu się śni—ale nie śni mu się wielkość jego domu, ani smutek i zgryzota, iż schodzi ze świata ostatni król polski Piastowski—jemu się śni los,

Jemu, co zostawił Polskę murowaną, a który w swoim majestacie patrzy na Polski ruinę i beznadziejność.

Jemu, co był Wielki.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Redakcja mającego ukazać się w tych dniach tygodnika *Echa Piotrkowskie* nadesłała nam swój prospekt, który pomieszczamy w całości.

Są ludzie, twierdzi Leonidas Andrejew, którzy, nie budząc się, umierają.

Oddaleni od centralnych, pulsujących życiem środowisk kulturalnych, skazani na ciągłą styczność z warunkami, które mianem „z dnia na dzień“ określić należy, ciągną

swój nędzny wózek wegietacji myślowej, pełen najrozmaitszego rodzaju dogmatów, tradycji i bezkrytycznych wierzeń.

Sprobujcie podsunąć tym biednym parjasom myśli poważną lekturę naukową, sprobujcie obalić ich glinianych bogów, podać w wątpliwość a priori przyjęte twierdzenia dogmatyczne—słowem, sprobujcie rozbudzić w nich ducha samokrytycyzmu, a ciężko okupicie swój eksperyment.

Bujnie zarośniętą przez chwasty i głogi jest polska niwa prowincjonalna...

Ileż pracy ciężkiej a niewdzięcznej dać trzeba, by oczyścić zapuszczony grunt!..,

Prowincja—to świat umarłych, gdzie wszystko jeszcze za życia w objęciach Nirwany spoczywa.

Prowincja—to pole, na którym atrofja myśli przerażająca obfite zbiera plony—trybuna, gdzie wypowiada się zajadłą walkę prorokom czystej, świetlanej prawdy, gdzie święte hasła wzbudzają conajwyżej uśmiech dobrotliwego filisterskiego politowania.

Zadaniem naszym jest krzewić myśi niepodległą, zachwaszczoną klerykalizmem, rolę pługiem postępu przeorać, niweczyć to, co tak misternie przez kościół zostało zbudowane, dla systematycznego błczowania prawdy.

Tak, nieliczni czytelnicy i przyjaciele nasi,—idziemy budzić prowincję echem protestu z łamów naszego tygodnika, idziemy z wiarą w drogie nam hasła postępu i prawdy—z głębokim przeświadczeniem, że praca nasza nie pójdzie na marne.

„Echa Piotrkowskie“, czytelnicy,—to w nowe szaty przybrany dawny „Piotrkowianin“ wasz, stracona w walce z klerem placówka postępu. Oddajemy je wam w tej nadziei, że, w miarę sił swoich, poprzeć nas zechcecie, że dołożycie wszelkich starań, by zyskały sobie jaknajwięcej przyjaciół, by stały się zwierciadłem idei postępu ziemi piotrkowskiej.

* *Myśl niepodległa* poświęca szereg uwag przewidujących sprawie odrodzenia Hiszpanji na gruncie reform świeckich, wysnuwając zeń daleko idące a trafne wnioski:

Majestat ludów łacińskich podniósł nareszcie głowę obrażoną i wezwał całą południową połać Europy do strącenia haniebnego jarzma, struganego na Watykanie przez cieślów świątobliwych. We wrześniu 1870 roku zjednoczone Włochy grzebią na wieki świecką władzę papiestwa, w grudniu 1905 roku Francja zrywa konkordat z Kurją Rzymską, a w lipcu bieżącego roku czyni to samo Hiszpanja

Te trzy daty płoną jak gwiazdy nad czołami trzech ludów łacińskich.

Gdy emancypacja ludów germańskich z pod wpływu papiestwa jest dokonanym faktem historycznym, gdy następuje z kolei emancypacja ludów łacińskich, gdy papiestwo utraci władzę nad *państwami-narodami* i zachowa ją tylko nad niektórymi *narodami w państwach*, gdy więc nie będzie już państw katolickich, koniec przyjść musi na papieską suverenitas. Wtedy władza ta, jako kategorja, będzie się równała zaledwie władzy jakiegoś starokatolickiego biskupa amerykańskiego, lub jakiegoś żydowskiego cadyka, w lepszym nieco stylu. Wtedy pewnego pięknego dnia zniknie jedna ambasada, a na dziedziniec Watykanu wkroczy włoski policjant.

Jesteśmy tedy świadkami naocznymi najbardziej interesującego procesu dziejowego, który dla nas samych ma znaczenie doniosłe, jeżeli nie natychmiast, to może już w bardzo bliskiej przyszłości.

Jeżeli kulturę germańską cenimy, to łacińską kochamy. Wiemy doskonale, ile ona zyska na świetności, jeżeli strąci z siebie całkowicie naloty watykańskie, jeżeli całkowicie przeistoczy się w kulturę świecką, odcinając się zupełnie od wpływów duchowych. Francja już to uczyniła, Włochy zastanawiają się nad tym, czyby papiestwa nie wydalić na jakąś wysepkę, Hiszpanja zrywa konkordat, zamyka klasztory, bierze się do laicyzacji szkolnictwa. Z upadkiem stanowiska politycznego papiestwa śród ludów łacińskich i germańskich, zmaleje stanowisko jego śród ludów słowiańskich. Z papiestwem walczy w tej chwili nie Canalejas, ale cywilizacja XX-go wieku, jej formy życia, jej instytucje.

Krasiński w jednej ze swych fantastycznych paraboli powiedział, że gdy walić sie będzie Sklepienie Piotrowe i gdy nawet kardynałowie z papieżem uchodzić będą, szlachta polska sprobuje jeszcze szablami swymi podeprzeć to sklepienie. Ale szlachcie polskiej wypadły szable z rąk, a na widownię życia polskiego wystąpiły całkiem inne warstwy. Czy one zrozumieją ideę wieku? Czy emancypacja ludów łacińskich z pod ucisku i intryg watykańskiego gniazda ós będzie dla nich nauką?

Wierzymy w to i, odwracając słowa Stanisława Szczepanowskiego, mówimy: albo Polska zerwie z katolicyzmem, albo jej wcale już nie będzie.

Z prasy rosyjskiej.

* W *Russk. Słowie* p. Fiłosofow maluje ogrom kontrastów, odcinających Rosję na tle stosunków Zachodniej Europy:

Gdyby Niemcowi powiedziano, że pewnej nocy ukradziono pomnik Zwycięstwa w Berlinie, to on nie uwierzyłby. Gdyby w gazetach rosyjskich zamieszczono wiadomość, że urzędnicy intendentury w ciągu jednej nocy po cegiełkach rozebrali pomiędzy sobą cały pałac kremlowski, uwierzylibyśmy! U nas istnieje taki artykuł prawa, który karze rozpowszechnianie „kłamliwych pogłosek“. Redaktorzy dobrze znają ten artykuł. Lecz jakżo odróżnić kłamliwe pogłoski od prawdziwych, gdy najoryginalniejsze, codzienne fakty życia rosyjskiego są negacją wszelkiej logiki, gdy fakty takie mogą przytrafiać się w niebezpiecznie chorym społeczeństwie. Urzędnicy intendentury wszędzie kradną, lecz przecież nie tak, jak w Rosji.

Zresztą pewien „finansista“ poważnie dowodził, że te kolosalne kradzieże mają również swoją dobrą stronę. Pieniędzy nie pochłonęła wojna, lecz wpływały one do kas oszczędności. Obecnie obracane są na ożywienie giełdy. U nas tak samo, jak i w „Europie“ można zauważyć zainteresowanie się walorami przemysłowymi. U nas nawet lepiej, niż w Europie, Trapieznikow zrujnował masę ludzi i zastrzelił się, a oto Rochette ani myśli zastrzelić się, lecz jeszcze wywłóczy na świat Boży jakieś brudy, nie gorsze, niż nasza panama intendentury.

Gdy u nas poczciwi nacjonaliści rzucają gromy na Rochette'ów, można wprost zwarjować.

Gra giełdowa jest koniecznym czynnikiem rozwiniętego przemysłu, podobnie jak prostytucja jest nieodłączonym towarzyszem wielkich miast. Są to wielkie grzechy ustroju kapitalistycznego, lecz nieco łagodzą je dodatnie strony tego ustroju.

Francuskie kasy oszczędności są przepełnione pieniędzmi, lecz są to oszczędności ludności pracującej, a nie urzędników intendentury. Prostytucja w Paryżu jest kolosalna, lecz za to jest tam kanalizacja, niema cholery, śmiertelność w porównaniu z petersburską jest nieznaczna i t. d. i t. d.

Prostytucję zaprowadziliśmy, lecz z cholerą walczyć nie umiemy. Odtrutek nie mamy, lecz tylko same trucizny. Do pewnego więc stopnia oszaleliśmy, uważając, że te trucizny są czymś najbardziej normalnym i naturalnym. Urzędnik intendentury stworzony jest po to, aby kradł, inżynier—ma ten sam cel życia. Zwierzchność istnieje po to, aby bezustannie „tropić“, a my, podwładni — po to, abyśmy się niczemu nie dziwili“.

* W sprawie odebrania gmachu teatrowi Polskiemu w Wilnie znajdujemy w numerze *Wil. Wiestnika* komunikat następujący.

Zgodnie z trybem, jaki się ułożył w ciągu lat ostatnich, przedstawienia rosyjskiej trupy odbywały się kolejno w gmachu wileńskiej ujeżdżalni wojskowej i teatrze miejskim, z którego, w dni wolne od przedstawień rosyjskich, korzystała trupa polska.

Od jesieni roku bieżącego gmach ujeżdżalni zostaje wyjęty z kompetencji Rady teatralnej i przechodzi na wyłączny użytek wydziału wojskowego.

W przewidywaniu tego, Rada powyższa, troszcząc się o zapewnienie trupie rosyjskiej wszystkich dni w tygodniu,

wszczęła jeszcze w grudniu roku 1909 kwestję przystosowania sali miejskiej do przedstawień teatralnych, przyczym, w razie pomyślnego rozstrzygnięcia tej kwestji, przypuszczała możliwość kolejnej zmiany przedstawień trupy rosyjskiej w teatrze miejskim i sali.

Wileńska municypalność nie mogła powziąć określonej decyzji w kwestji przystosowania sali miejskiej dla celów oznaczonych, poruszając jednocześnie kwestję budowy, wzamian tego nowego gmachu teatralnego.

Wobec takiego niewyraźnego stanu rzeczy, gubernator wileński, działając w nieobecności głównego naczelnika kraju na mocy 206 art. ustawy inst. gub., upoważnił w dniu 19 marca r. b. prezesa Rady teatralnej do zawarcia z dyrektorem trupy rosyjskiej umowy w tym duchu, iż gmach teatru miejskiego zostaje mu oddany do wyłącznej dyspozycji we wszystkie dni w tygodniu, z zastrzeżeniem, że jeżeli municypalność wileńska w dniu 1 sierpnia r.b.odda do rozporządzenia Rady teatralnej salę miejską, w zupełności przystosowaną do przedstawień teatralnych, lub inny lokal, odpowiadający artystycznym wymaganiom teatru, to kwestja korzystania z teatru przez obie trupy uległaby ponownemu omówieniu.

Na tych podstawach została spisana odpowiednia umowa i o tym Zarząd miejski został zawiadomiony jeszcze w marcu r. b. W terminie oznaczonym jednak (dnia 1 sierpnia) Rada teatralna nie otrzymała od miasta potrzebnego lokalu.

Wobec takiego stanu rzeczy, gubernator wileński, działając na mocy owego art. 206, zakomunikował Radzie teatralnej, że zastrzeżenie powyższe traci swą moc i teatr miejski w nadchodzącym sezonie teatralnym powinien być uważany, jako oddany do wyłącznej dyspozycji trupy rosyjskiej.

Długiego tego wywodu biurokratycznego krótki sens jest ten, że teatrowi polskiemu odebrano gmach, godząc w kulturę artystyczną polska. Teatr ten wyrzucono na bruk.

LIST DO REDAKCJI.

Szanowny Redaktorze!

W ostatnim numerze *Prawdy*, w przeglądzie prasy, sprawozdawca omawiając mój artykół („Fanatyzm żydowski i kultura polska" w 17-ym numerze *Izraelity*), całkowicie spaczył moją myśli wyprowadził najzupełniej fałszywe wnioski, — proszę więc uprzejmie o łaskawe zamieszczenie niniejszego sprostowania.

Sprawozdawca twierdzi, że artykuł mój „musi wywołać przykre zdumienie każdego postępowego Polaka bez różnicy wyznania i pochodzenia". Na dowód przytacza dwa moje zdania w ten sposób, że w pierwszym z nich wypuszcza ważne, jak udowodnię, słowa.

W artykule moim napisałem: „Czy, pamiętając o podkreślonym przez nas zjawisku, możemy, mimo to, twierdzić, że fanatyzm żydowski jest dla przszłości kultury polskiej siłą groźniejszą w porównaniu z fanatyzmem katolickim, czy bardziej psuje świeżość ogólnej atmosfery kulturalnego życia?" I drugie zdanie: „Bezwarunkowo — nie! I każdy rozsądnie myślący człowiek musi w tej sprawie stanąć w obronie żydów". W cytacie sprawozdawca opuścił słowa: „pamiętając o podkreślonym przez nas zjawisku, możemy, mimo to, twierdzić, że..." i dalej zapytuje: „Czy autor sądzi, że pojęcie żyda jest tak nieodłączne od pojęcia żydowskiego fanatyzmu, że obrona żydów wymaga apologji tego ostatniego i to jeszcze tak śmiesznej i płytkiej, jak dowodzenie, że fanatyzm katolicki jest jeszcze gorszy?"

Zadanie mi takiego pytania mógłbym poprostu uważać za objaw złej woli, wobec mojej nieustającej walki z fanatyzmem żydowskim, wolę jednak sądzić, że jest to tylko nieporozumienie.

Podstawową myślą mojego artykułu było wykazanie względnie większej łatwości walki z fanatyzmem żydowskim, niż z katolickim, wobec pewnego znamiennego zjawiska, do którego stosowały się opuszczone w cytacie słowa („pamiętając o podkreślonym przez nas zjawisku"). Zjawisko to polega na tym, że, jak napisałem, „żyd religijny, który na drodze postępu uczyni choćby jeden krok, odwraca się wnet od całego niemal gmachu przesądów". I wyjaśniłem to w ten sposób: „Żyd fanatycznie religijny każdy przepis judaizmu uważa za jednakowo ważny, każde przekroczenie za jednakowo grzeszne, skoro więc z gmachu przesądów jedną tylko cegiełkę usunie, gmach mu się rozpada".

Artykuł mój zakończyłem wnioskiem, że „sama ta łatwość, z jaką młodzież żydowska się wyzwala, stanowi znakomitą rękojmię, że, przy bardziej sprzyjających warunkach, jakie w kulturalnym życiu polskim prędzej czy później nadejść muszą, fanatyzm żydowski będzie coraz szybciej malał i znikał, niczym wzrostu kultury całego społeczeństwa nie tamując". I kończę: „Każdy, komu zarówno dobro ludu żydowskiego, jak i przyszłość kultury polskiej leży na sercu, winien czynić, co tylko może, by nadejście tych nowych warunków swobodniejszego życia kulturalnego przyśpieszyć".

Oto jest „apologja fanatyzmu żydowskiego!"

Do czego stosowało się powiedzenie o obronie żydów? Bronię żydów w tym artykule wyłącznie przed zarzutem, który tak często słyszymy, że mianowicie fanatyzm żydowski jest *groźniejszy* dla przyszłości kultury polskiej, niż katolicki. Czemu więc sprawozdawca doszedł do wniosku, że dowodzę, iż w stanie obecnym fanatyzm żydowski jest *mniej groźny* od katolickiego? Niewiem.

Sądzę, że fałszywe wnioski sprawozdawcy są teraz całkowicie widoczne.

Nie gdzieindziej, szanowny redaktorze, tylko właśnie na łamach *Prawdy*, w całym szeregu artykułów, pisanych w ciągu kilku lat (między innymi — „Sjonizm i Synagoga", „Żydzi i polskość", „O kwestji żydowskiej") dowodziłem, że jedynym rozwiązaniem kulturalnej strony kwestji żydowskiej w naszym kraju jest asymilacja świecka, oparta na mocnym gruncie myśli wolnej i szczęśliwy jestem, że prowadzę teraz organ, którego świecka asymilacja jest hasłem naczelnym. To też doznałem przykrego uczucia, czytając zgoła niesłuszne zarzuty na łamach *Prawdy*, z której stanowiskiem zasadniczym w kwestji żydowskiej zgadzam się przecież najzupełniej.

Racz przyjąć, Szanowny kolego, wyrazy poważania

Józef Wasercug.

KRONIKA.

REPRESJE PRASOWE. Na skutek rozporządzenia władz sądowych, został zawieszony do wyroku sądowego, wychodzący w Wilnie tygodnik p. t. *Wiedza* za artykuł w 28-ym numerze tego pisma p. t. „Zamiary a siły".

NOWE OBOSTRZENIA. W ostatnich czasach ministerjum oświaty w drodze poszczególnych wyjaśnień dało nowe przepisy przyjmowania do uniwersytetów. Przepisy te, jak mówi „Riecz", w porównaniu z dotychczas praktykowanymi, stanowią nowe ograniczenia.

A więc: osoby, które ukończyły kurs w wyższych zakładach naukowych, już nie mogą być przyjmowane do uniwersytetów na zasadzie dyplomu o wyższym wykształceniu, lecz tylko na zasadzie matury, lub po złożeniu dodatkowych egzaminów, w tych wypadkach, gdy osoby te nie posiadają świadectw dojrzałości.

Osoby, które ukończyły kurs wyższych zakładów naukowych, a które korzystają z odroczenia powinności wojskowej, mogą być przyjmowane do uniwersytetów, jedynie po odbyciu powinności wojskowej lub uwolnieniu się od niej.

Osoby ze stanu duchownego (duchowni, djakoni) nie mogą być przyjmowani w poczet studentów.

Do prośby, oprócz zwykłych dokumentów, wraz z kopjami powinno być dołączone świadectwo prawomyślności, wydane przez miejscową administrację. Od przedstawienia takiego świadectwa uwolnione są tylko te osoby, które ukończyły średnie zakłady naukowe w tym samym roku, w którym wstępują do wyższych zakładów naukowych. Eksterni natomiast zmuszeni są w każdym bądź razie przedstawiać te świadectwa. Osoby, które mieszkały zagranicą, powinni przedstawiać świadectwo o prawomyślności, wydane przez departament policji.

Maturzyści z innych okręgów mogą być przyjmowani do uniwersytetów jedynie po zaliczeniu wszystkich, którzy ukończyli gimnazja w danym okręgu.

Prenumerata „Prawdy”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8·